

WOKANIE
W PUSZCZY
PRZECIWI
BACHUSOWI

Pożegnanie
pisarki

SCENY
MIKOSNE
felietony

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 630

madłodrze

ZIELONA GÓRA

22 III — 4 IV 1987 R.

ROK XXXI NR 6 [637]

CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Artykuł dyskusyjny

Reforma gospodarcza po pięciu latach

Aleksander Kapustka

MINĘŁO JUŻ PIĘĆ LAT wdrażania reformy gospodarczej w naszym kraju. Pomiędzy zagadnieniami obiektywnie trudnych warunków zarówno gospodarczych jak i społecznych, które wystąpiły już na starcie „kolejnej” polskiej reformy gospodarczej w okresie powojennym, trzeba stwierdzić, że w tym zakresie wiele nieprawidłowości ma swoje źródło w niespójności i niestabilności rozwiązań prawnych, w wielu regulacjach bardzo szczegółowych i zbędnych, które doprowadziły do ograniczenia samodzielności i samorządności przedsiębiorstw, sprzyjały odnawianiu się starych struktur organizacyjnych.

Nastąpiło przeregulowanie naszej gospodarki — co w konsekwencji doprowadziło do braku poszanowania prawa w ogóle, a szczególnie prawa gospodarczego. Trudno się temu dziwić, skoro obowiązują u nas około 20-tu tysięcy różnego rodzaju przepisów prawnych, w tym przykładowo: 467 ustaw, 1393 rozporządzeń, 1069 uchwał Rady Ministrów, 931 zarządzeń ministrów publikowanych w Monitorze Polskim, ponad 10 tys. niepublikowanych przepisów resortowych itp.

To prawda, że prawny model reformy gospodarczej powstaje w ogniu ostrej walki i poszukiwań rozwiązań najbardziej korzystnych dla naszej gospodarki, ale prawdą jest i to, że mimo wydania w latach 1980-1985 ponad 40-tu ustaw związanych z reformą gospodarczą — nie udało się stworzyć prawnego modelu doskonalenia mechanizmów promocyjnych w kierunku wzrostu wydajności pracy oraz przeciw działania zjawiskom marnotrawstwa. Nie posunęliśmy się naprzód w zakresie reformowania centrum gospodarczego i jeszcze wielu innych obszarów naszego życia społeczno-gospodarczego. Bez tych jakże ważnych ustaw, nasze działania są polowiczne. Reforma nie może prawidłowo funkcjonować „na dole”, jeśli centrum gospodarcze, a więc „góra” — pozostaje bez zmian. Trafnie ten problem ujmują wielu autorów pisząc, że na razie mamy do czynienia z marazmem niezreformowanego Centrum ze zreformowanym polowicznym przedsiębiorstwem. Tak więc za-

miast systemowych regulacji dotyczących mechanizmów ekonomicznych i konsekwentnego wdrażania ich w życie — niemal co roku mamy do czynienia z tak zwanymi przepisami o „doskonaleniu” lub „doskonaleniu” reformy gospodarczej.

Na podstawie doświadczeń minionych pięciu lat można stwierdzić, że mimo olbrzymich wysiłków najwyższych władz partyjnych i administracyjnych — dotychczasowe administracyjne i na kazowe metody wynikające z nadmiernej regulacji prawnej — nie przyniosły pożądanych efektów. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w wielu dziedzinach ma miejsce pogorszenie sytuacji, gdyż nastąpiło rozregulowanie starych powiązań kooperacyjnych, powstał bałagan w gospodarce materiałowo-zaopatrzeniowej, rozwija się nadmierne rozdzielnictwo i pośrednictwo zaopatrzenia w materiały, surowce, sprzęt itp. Mimo wielu przepisów prawnych nie udało się powstrzymać tendencji spadkowej w zakresie płacy realnej i warunków społeczno-gospodarczych życia wielu grup, w tym szczególnie emerytów i najmniej zarabiających.

Powstaje zatem pytanie: dlaczego przy tak dużym zaangażowaniu najwyższych czynników politycznych i administracyjnych naszego kraju — załamuje się po raz trzeci czy czwarty próba reformowania naszej gospodarki? Dlaczego przy tak silnej presji społeczeństwa i woli politycznej władz — nie udaje się wyjść nam z tego marazmu gospodarczego?

Nie pretendując do nawet częściowego udzielenia odpowiedzi na tak postawione pytania, gdyż wymagają one szerszych i głębszych badań, można jednak bez większego błędu stwierdzić, że jednym ze źródeł tego stanu rzeczy jest brak konsekwencji w realizacji wyznaczonych celów. Dopóki ta praktyka nie zmieni się — nie mamy ani teoretycznych ani praktycznych szans na

Ciąg dalszy na str. 4



Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru aktorom, pracownikom i dyrekcjom Teatrów — im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze i im. Juliusza Osterwy w Gorzowie składamy serdeczne gratulacje i życzenia. Teatrowi w Zielonej Górze życzymy pomyślności z racji obchodzonego niedawno jubileuszu 35-lecia. Na zdjęciu scena z premiery „Antygony” Sofoklesa w zielonogórskim teatrze — w przekładzie Stanisława Hebanowskiego, reżyserii Krzysztofa Rotnickiego, scenografii Jerzego Bechynie — z Małgorzatą Wower w roli Antygony i Krystyną Szostek w roli Ismeny

Fot. Cz. LUNIEWICZ

Uczymy się Grecji

Małgorzata
Kowalska-Masłowska

Wielu z nas, zapytanych o najwyższy szczyt Grecji, odpowiedziałoby zapewne — Olimp. Tymczasem — ów legendarny, spowity mgłą i śniegiem Olimp jest długim na czterdzieści kilometrów masywem, z najwyższym, bo liczącym 2917 m szczytem — Mitikas. I oto, na barwnym przeźroczu widzimy jego zdobywcę: młodszy wtedy o jedenaście lat, jeszcze brodaty nauczyciel geografii i świeżo upieczony żonko, „druga połowa” została w Lubsku. Mieczysław Wojecki, wpisuje się do księgi zdobywców góry. Tak przypieczętował swój prywatny pakt z Grecją.

Oczywiście, przypadek zrzucił, że student geografii Uniwersytetu Gdańskiego przeczytał prasową notatkę o greckim pikniku nad jednym z polskich jezior i zaintrygowany postanowił sprawdzić, czy aby jest to prawda. Gdy okazało się, że w naszym kraju znalazło schronienie wielu greckich uchodźców politycznych i ich rodzin, postanowił docieklawy student zbadać problem. Już w sposób naukowy. I tak też powstała praca magisterska — „Emigranci greccy w Polsce”. Materiały zbierał Wojecki jeżdżąc po całym

niemal kraju, z Gdańska — Wrzeszcza do Bielska — Białej, z Katowic do Wrocławia, Zgorzelca i Zielonej Góry, od jednej greckiej kolonii do drugiej. Skromne stypendium nie wystarczało na liczne podróże, trzeba było pracować w stoczni. W ciągu kilku następnych lat polepszył się byt osiadłego w Lubsku już nauczyciela geografii, marzącego o prawdziwej podróży do wyspiarskiej Grecji. Na razie los sprawił miłą niespodziankę.

— Co za zbieg okoliczności. Proszę sobie wyobrazić, pierwszym czowie-

kiem, którego spotkałem w pokoju nauczycielskim, był Grek, Telemach Piliśdes, wtedy nauczyciel wychowania plastycznego. Czyż nie było to przeznaczenie? Tak się dałem porwać idei Grecji, że urodzonego kilka lat później syna nazwałem imieniem — Aris, a ojcem chrzestnym był właśnie Piliśdes.

O rowerowej wyprawie Wojeckiego do Grecji po raz pierwszy usłyszałam podczas rozmowy nad Zatoką Gdańską, gdzie razem byliśmy kolonijnymi wychowawcami. Opowieść zatrzymywała się na najpiękniejszych poznanych przez turystę miejscach, w szczególności tych, które związane były z Polską — malowniczej Dolinie Tempe, gdzie miesi się wieś Derbina, założona w połowie XIX wieku przez polskich legionistów. Zaferowany Wojecki opowiadał o Wyspach Jońskich, na których w osiemnastym wieku były próby utworzenia republiki polsko-greckiej, o malowniczej wyspie Eubei z miastem Chalkis, broniącym przed Turkami w 1853 r. przez komendanta

twierdzy, Polaka, Roberta Bronikowskiego, wreszcie o Atenach z osłepiającą bielą domów i nigdzie indziej nie spotykanym błękitem skwarnej nieba, z grobami Zygmunta Międzykorskiego, dziada premiera Andrzeja Papandreu, bohatera Jerzego Iwanowa Szajnawicza i Rogera Raczyńskiego, pierwszego ministra spraw zagranicznych polskiego rządu emigracyjnego.

— Czytałem kiedyś książkę Fowlesa „Mag” o młodym angielskim nauczycielu, który przyjeżdża uczyć swego ojczystego języka w ekskluzywnym męskim gimnazjum na jednej z tysiąca greckich wysp. I szczególnie utkwiło mi jedno z jego spostrzeżeń: mimo dużych nieraz upałów, braku opadów, a w głębi ładu — czasem wody w Grecji nie ma kurzu. Każda barwa jest czysta, krajobrazy wydają się nierealne.

Ciąg dalszy na str. 5

Opinie i refleksje

Przeciw Apokalipsie

Obecni na moskiewskim forum pokoju przedstawiciele zachodnich stacji telewizyjnych wraz z korespondentami zachodniej prasy wprost ostudziły zdużenie na widok byłego dyktanda Andrieja Sacharowa, który unosząc ręce wysoko nad głowę, spontanicznie okazywał przedmowa Michała Gorbaczowa. Wola Europa i Głos Ameryki odebrały taką wiadomość zaniemowili, nie wiedząc co powiedzieć i zapewne zając, że tracą w Sacharowie stały temat do walkowania.

Powrót Sacharowa oraz innych osób do zawodowego i publicznego życia, to jeden z symptomów rozpoczęcia w ZSRR i rozwijającej się burzliwie „ery Gorbaczowa”. Przez ten wielki kraj pły nie teraz szeroka fala demokracji i odnowy, niwecząca zakorzenione od lat schorzenia społeczne. Surowo piętnuje się nadużywanie autorytetu przez ludzi na stanowiskach w partii, administracji, przemyśle i innych dziedzinach. Surowe kary ponoszą winni korupcji, nepotyzmu i innych nadużyć, a zmiany kadrowe i strukturalne przywracają dynamikę skostniałym formom gospodarowania.

Pełnym głosem przemawia krytyka społeczna, a jej opinie prasa podaje bez ogródek. „Prawda” i inne gazety ludzie radzieccy czytają teraz jak bestsellery pełne wiadomości budzących nadzieję na lepsze jutro, a także ciekawostek. Na przykład niedawno prasa radziecka, tak że światowa i światowe telewizje podały informacje z zachodniemieckiego pokazu mody w Moskwie i spotkania z okazji małżonki radzieckiego przywódcy — znanej z elegancji pani Raisy Gorbaczowej, z Frau Aenne Burda, szefową słynnego miesięcznika. Jak się okazuje „Burda”, wydawana w kilku europejskich językach, drukowana będzie również w języku rosyjskim.

Równocześnie z posunięciami wewnątrz kraju, którym przygląda się świat zarówno z bliska, jak i z daleka, Michał Gorbaczow realizuje swą wielką ideę „otwartego humanizmu”. Nad naszym globem zawisło widmo Apokalipsy. Jeden ruch, a wszystko co ludzkość w ciągu wieków budowała, zamieni się w pył, wraz z ludźmi. Michał Gorbaczow rzuca hasło: — Ocalmy naszą planetę do roku dwutysięcznego uczynimy świat wolnym od broni atomowej! Rozbrojenie nuklearne jest możliwe, jak mówi Gorbaczow, jeśli nauczymy się rozsądnie postępować między sobą i opanujemy trudną sztukę uwzględniania wzajemnych interesów!

„Times” pisze: „W sytuacji, gdy przywódca radziecki okazuje taką zrzeczość w oddziaływaniu na opinię publiczną, rząd Reagana będzie spychany do defensywy, ze swym sztywnym upieraniem się przy rozbudowie zbrojeń wojen gwiazdowych”. Mówi się na Zachodzie nawet o „fascynacji” osobą Gorbaczowa, a amerykańscy politycy, jak Cyrus Vance, Henry Kissinger i inni przyznają, że od pokoleń nie było na Kremlu tak inteligentnego, elastycznego i doświadczonego politycznie partnera do negocjacji. Na światowym forum gospodarczym w Davos w Szwajcarii, tam gdzie rozgrywa się akcja „Czarodziej-skiej Góry” Manna, minister spraw zagranicznych RFN Heinz Dietrich Genscher wypowiedział się za budową wraz ze Związkiem Radzieckim „wspólnego domu europejskiego”, opartego o wspólną pracę gospodarczą i porozumienie rozbiorowe.

Choć są siły, które pilnują, aby „otwarcie” Zachodu na ZSRR nie posu-nęło się zbyt daleko, „otwarcie” to po-woli się rozszerza. Idea Gorbaczowa, wyrażana szeregiem inicjatyw i wyraża-na słowem „głębokość”, które podobnie, jak słowo „sputnik” wchodziło do między-narodowej terminologii, ma coraz wię-ciej zwolenników w państwach świata. Oficjalnie jednak dopiero jedna z tych inicjatyw zdobyła, jak się wydaje, zrozu-mienie decydentów w Waszyngtonie. Oto w Genewie odbywa się konferencja specjalistów ZSRR i USA w sprawie eli-minacji euromisji. My, dzieci Europy od Atlantyku po Ural, wierzymy, że porozu-mienie w tej sprawie jest bliskie i że, gdy osiągnięta konkretna postać, jeszcze w tym roku zostanie zrealizowana.

MARIAN SKARBK

Przed II Kongresem PRON

Dobiega końca kampania sprawozda-wczo-wyborcza w ogniwach PRON przed II Kongresem Ruchu, który od-będzie się na początku maja br.

„Jest w Patriotycznym Ruchu Odro-żnienia Narodowego miejsce dla tych, którzy w trudnym, dramatycznym okre-sie kryzysu sprawdził się, którzy ta-czą w swych sercach uczucie miłości ojczyzny, z uczuciem żalu i bólu z po-wodu wszystkiego, co w naszym życiu okazało się złe, niesprawiedliwe i nie-godne” — czytamy w Deklaracji ogło-szonej 20 lipca 1982 r. w sprawie ut-worzenia PRON. Od tamtego czasu upłynęło pięć lat, dostatecznie długo, by przekonać się czy PRON spełnił oczekiwania jego założycieli i człon-ków. Jak pamiętamy, sygnatariusze owej Deklaracji uznali, że w PRON jest miejsce dla partyjnych i bezpar-tyjnych, wierzących i niewierzących, dla wszystkich Polaków, którzy stoją

na gruncie Konstytucji PRL. Ruch kie-ruje się zasadą tolerancji, uznaje samo dzielność wszystkich swoich członków w myśli zasady poszanowania prawa do odmiennego zdania, uzasadnionej kry-tyki, uznawania argumentów, wzajem-nej lojalności, partnerstwa. Członkom PRON chodzi o to samo — o Polskę.

W województwie zielonogórskim og-niwa PRON powstały we wszystkich miastach i gminach, większość zakła-dów pracy, wsi, osiedli. Jeśli w roku 1983 w PRON było 306 ogniw, to pod koniec 1986 r. już 527. W 1983 r. do PRON należało blisko 10 tysięcy miesz-

Z REGIONU

kańców województwa, obecnie — 23 tysiące. Najliczniejsze są koła środowis-kowe, najmniej — wiejskie.

PRON zajmuje się wszystkim, co bliskie jest Polakom, co ludzi niepokoi i drażni, co wymaga zbiorowego wy-siłku i wspólnej mądrości. PRON przy-toczył ordynację wyborczą, współ-tworzył platformę wyborów, uczestni-żył w wyłanianiu kandydatów na rad-ych rad narodowych wszystkich szcze-bli, organów samorządu mieszkańców i na posłów do Sejmu PRL. Umożliwi-ło to społeczeństwu szeroki udział w kampaniach wyborczych, a także roz-

biorstw rolnych obu krajów. Wyjazdy pierwszych grup młodych rolników ma-ją nastąpić już w maju br.

(x)

Nowa książka Christy Wolf

Według doniesień agencji DPA, nowa książka znanej pisarki NRD, Christy Wolf, zatytułowana „Zakłócenie”, poświęcona będzie katastrofie w Czerno-byli i jej skutkom dla ludności. „Zakłócenie” ma służyć ukazaniu w narcu lub kwietniu, równoległe w NRD-wskim wydawnictwie Aufbau, jak również w oficynie Luchterhand w RFN. Fragmenty tej książki pisarki odczytywała niedawno na swych wieczorach autor-skich w obu częściach Berlina.

Wydawnictwo Luchterhand w Darm-stadzie poinformowało w skrócie o treści książki: Do mai, wsi w Meklemburgii pewnego spokojnego dnia dociera wiado-mość o katastrofie w Czernobylu. Tego dnia do wsi przybywają osoby w poszukiwaniu swych przeżyć wojen-nych. Stary sąsiad chce tego dnia po-sadzić trochę kartofli. Ale tego dnia nie powinno się pracować w ogrodzie. Wy-dawnictwo określa „Zakłócenie” jako odpowiedź Christy Wolf na nie mające odpowiedzi pytanie: co tego kwietnio-wego dnia w 1986 r. przydarzyło się ludziom?

(x)

„Przemówienie do wroga”

Jak informuje agencja DPA, w NRD wydano ostatnio „Przemówienie do wroga” Stefana Heyma. Książka ta u-każala się w ubr. w zachodniemieckiej oficynie wydawniczej Bertelsmanna. Zamieszkały w NRD 73-letni Heym, którego większość ostatnich dzieł nie ukazała się dotąd w NRD, wrócił z em-gracji do Niemiec jako żołnierz armii amerykańskiej, gdzie działał w refera-cie wojny psychologicznej. „Przemó-wienie do wroga” zawiera rękopisy Heyma z tego właśnie okresu — słuchowiska, odczyty opowiadania. NRD-owski krytyk literacki, Werner Neubert określił na łamach BERLINER ZEITUNG tę publikację jako „historycznie potrzebną, ważną dokumentację, także osobistego zaangażowania, któremu za-swe należy się cześć”.

(x)

ZALABA

Przygotowania do „wojen gwiazdowych”

Jak wiadomo, rząd kanclerza Kohla poparł już w swoim czasie reaganow-ską koncepcję tzw. „wojen gwiazdowych”, tj. militarystyki Kosmosu. Niemalże in-teres obywateli sobie zrobić na udziale RFN w tym programie zachodniemieckie koncerny zbrojeniowe. Szczególnie ak-tywnie angażuje się w realizację tego przedsięwzięcia koncern Rheinmetall, mający swą siedzibę w Duesseldorfie. Wiadomo już — jak pisał tygodnik STERN — gdzie na terytorium RFN będą wypróbowywane różne urządze-nia mające służyć militarystyce Kosmo-su. Ma się to odbywać m.in. w okoli-cach Lueneburga, nieopodal miejscow-ści Uelzen, gdzie zamierza się zbudować

szerszy wpływ ludzi na skład osobo-wo, kształt oraz aktywność radnych i posłów. Ogniwa PRON uczestniczyły w rozwiązywaniu istotnych problemów mieszkańców środowiska Nadodra. Istniejące przy radach wszystkich szczebli komisje rozpatrywały nie tyl-ko programy, ale i wnioski ludności. Komisja Interwencji Społecznych Rady Wojewódzkiej przyjął aż 471 skarg, uznając, że 70 procent spośród nich wymaga natychmiastowego załatwie-nia. Najwięcej skarg dotyczyło gospo-darki komunalnej i mieszkaniowej, pracy administracji państwowej, funk-cjonowania Zakładu Ubezpieczeń Spo-łecznych i rolnictwa. Również inne ko-misje — Społeczna Komisja Pojednaw-cza, Forum Młodego Pokolenia, Inicja-tyw Społeczno-Gospodarczych — wni-sły wiele do naszego życia. Z inicjaty-wy PRON powstał w Zielonej Górze Wojewódzki Komitet Pokoju. Ważne miejsce w działalności Ruchu zajmo-wały czyny społeczne na rzecz środo-wiska, a szczególnie — Narodowy Czyn Pomocy Szkole. W Zielonogór-skim istnieje 49 terenowych komite-ów NCPS, które zainicjowały budowę lub modernizację 51 szkół, 5 przedszo-łi, 6 domów nauczycielskich, 7 sal gim-nastycznych, 2 basenów kąpielowych.

W PRON głośno mówiono o potrzebie ochrony środowiska, przełamaniu kryzy-su w budownictwie mieszkaniowym i to-warzystwym, zaopatrzeniu, modernizacji

handlu i usług. W środowisku więj-szym często zastanawiano się, co zro-bić, by rolnik miał łatwiejszy dostęp do lekarza, telefonu, środków produk-cji. Wiele z tych postulatów nie docze-kało się realizacji, zostały one zapisa-ne lub przekazane władzom do rozpa-trzenia.

PRON ma swoje problemy organiza-cyjne. Przede wszystkim za mało w Ru-chu młodzieży, ludzi bezpartyjnych. Ruch chciałby być płaszczyzną szer-okiego i powszechnego porozumienia, budowania zgody narodowej, umacnia-nia państwa. Jego działacze zdają so-bie sprawę z tego, że w programie dzia-łania, który przyjmie II Kongres, mu-szą się znaleźć takie zagadnienia, jak: demokracja, mechanizm sprawo-wania władzy, pogłębianie gwarancji praworządności, odrodzenie moralne, równowaga społeczno-ekonomiczna. Większość ogniw PRON opracowała konkretne programy, wynikające z po-trzeb środowisk, w których działają. Są jednak i w tym Ruchu ogniw, nie-liczne, które istnieją formalnie.

Na początku marca br. w Zielonej Górze odbył się Zjazd Wojewódzki, któ-ry wybrał nowe władze PRON i dele-gatów na II Kongres. Zjazd Wojewódz-ki w Gorzowie odbędzie się 25 marca br.

ALFRED SIATECKI

Instytuty Goethego i propaganda

W 66 krajach świata działa 148 insty-tutow Goethego — ośrodków informacyj-nych RFN, popularyzujących codzienny i odświeżający obraz Republiki Federal-nej. Biuletyn socjaldemokratyczny SPD PRESSEDIENST zwraca uwagę na rozliczne próby, inspirowane lub inicjowane przez przywódcę CSU, Franza Josefa Straussa, przekształce-nia tych ośrodków w narzędzie propa-gandy. Miałaby ona nosić w dodatku pieczęć skrajnie konserwatywnego nur-tu chadeckiego i stanowić niejako prze-ciwnieństwo polityki zagranicznej, jaką uprawia resort Hansa-Dietricha Gen-schera. Bawarscy socjaldemokraci zwrócili uwagę na liczne już ataki Straussa, względnie jego ludzi, na pro-fil działalności instytutów Goethego oraz na wysuwane przezeń żądania „zmian personalnych” w resorcie kul-tury MSZ, któremu te instytuty podlegają. Nie bez przyczyny w prasie kon-trolowanej przez środowisko Straussa ukazują się napaści na instytuty Goethego, za przedstawianie rzekomo zbyt pesymistycznego, krytycznego obrazu Republiki Federalnej zagranicą. Wice-przewodniczący krajowej SPD w Baw-rii, Hedda Jungfer zapytuje w inter-pelacji poselskiej, czy „mnożące się uszczypliwości pod adresem instytutów Goethego oznaczają zapowiedź prze-kształcenia ich jedynie w instrument propagandy w służbie narodowej poli-tyki zagranicznej?”

(x)

Nie pamiętać!

W dzielnicy Beul zachodniemieckiej stolicy Bonn uczniowie i ich nauczy-ciel historii postanowili dowiedzieć się czegoś o pracy cudzoziemskich robotni-ków przymusowych, którzy byli wysyksi-wani w okresie III Rzeszy w tym mie-scie. Temat zainteresował ich kiedyś przeglądając kronikę miasta 14-letni uczniowie gimnazjum znaleźli jedną jedyną notatkę o egzekucjach Polaków w latach 1942-43 w Beul. Idąc tropem tej informacji stwierdzili, że gestapo straci-ło publicznie trzech Polaków, bez jakiegokolwiek sądu, za rzekome kontakty seksualne z niemieckimi dziewczętami. Makabryczną zbrodnię popełniono w podmiejskich kamieniołomach Finken-berg. Uczniowie wystąpili do władz stoli-cy Republiki Federalnej z propozycją uczczenia zamordowanych Polaków przez umieszczenie odpowiedniej tabli-cy w kamieniołomach. Początkowo wy-siłek uczniów i ich propozycję spotkały się z uznaniem i rzecznik prasowy mia-sta Bonn zaprosił ich na posiedzenie ra-dy dzielnicy w Beul, która miała sfinalizować sprawę. Tam właśnie uc-zniowie doznali wielkiego rozczarowania. Chadecka większość rady w Beul odrzuciła pod wieloma pretekstami propo-zycję uczczenia pamięci zamordowanych polskich robotników przymusowych. Ich zdaniem miejsce w dawnych ka-mieniołomach jest „niegodne” tablicy ze względu na położenie, poza tym te-reny te są wykorzystywane rekreacyj-nie i turystycznie; więc tablica tam jest niewłaściwa itd. Wreszcie decyzję negatywną uzasadnił przewodniczący frakcji CDU w radzie — Klaus Fried-richs, stwierdzając wprost: „w Bonn nie powinno być żadnych tablic dla uczcie-nia pamięci robotników cudzoziem-skich”. Z ostatniego n-ru ubiegłoroczne-go tygodnika hamburskiego „Der Spie-gel” uczniowie mogli się dodatkowo do-wiedzieć, iż główny oponent w radzie w Beul Friedrichs jest synem ówczes-nego miejscowego wodza partii hitle-rzowskiej, który według odnalezionych przez uczniów dokumentów, każdoro-wo był przez gestapo informowany o egzekucjach polskich robotników.

(tema)

Wystąpienie burmistrza Berlina Zachodniego

Burmistrz — szef rządu Berlina Za-chodniego Eberhard Diepgen (CDU) przyjął z zadowoleniem wyrażoną przez Erika Honeckera gotowość do współpracy z drugim państwem nie-mieckim. Rząd federalny powinien „trzymać go za słowo” — oświadczył Diepgen w Izbie Deputowanych. Za-chodniobermberski Senat (rząd) wychodzi z założenia, że Honecker mówiąc o współpracy z Republiką Federalną ma na myśli również Berlin Zachodni. Od-powiadając na interpelację SPD szef rządu zaakceptował, że w roku obcho-dów 750 rocznicy powstania miasta jest wiele możliwości przekształcenia słów Honeckera w czyn. Wymienił w tym kontekście m.in. zawarcie układu o ochronie środowiska, poprawę w ruchu podróży, a także handel, współpracę gospodarczą NRD z Berlinem Zachodnim oraz tworzenia możliwości spot-kań przedstawicieli kultury. Szef frak-cji SPD Walter Momper ponownie za-żądał od Diepgena, żeby wziął mimo, sprzeciwu CDU, udział w uroczystej akademii z okazji 750-lecia miasta, któ-ra odbędzie się w październiku we wschodniej części Berlina. Taka wizyta jest „politycznie niezbędna i celowa”. Jest też „symbolicznym krokiem w stronę elastyczności, otwartości i goto-wości do dialogu”. Według SPD, Diepgen powinien zaprosić burmistrza sto-licy NRD Kracka na tegoroczne spo-tkanie burmistrzów w Berlinie Zachodnim. Socjaldemokraci uważają, że po tym, gdy stanie się wiadome, iż amba-sadorzy państw zachodnich składają wizyty również burmistrzowi Berlina Wschodniego, nie ma żadnych przeszkód dla złożenia wizyty również przez Diepgena. Natomiast deputowany Listy Alternatywnej (AL) Stefan Reiss zaproponował podczas debaty, zaprosić do Berlina Zachodniego, na obchody 750 rocznicy, Michała Gorbaczowa.

(x)

Wołanie w puszczy?

ROZMOWA Z MGR MARIANEM FLAUMEM, PRZEWODNICZĄCYM ZARZĄDU ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO SPOŁECZNEGO KOMITETU PRZECIWAŁKOHOLOWEGO W ZIELONEJ GÓRZE.

W obiegowych opiniach jesteście traktowani z przymrużeniem oka. Mówi się: nieśkądliwi dziwacy, nie mogący pić, bo już swoje wypili, dinozaury straszące wódką...

— Znam to i mogę dodać jeszcze parę innych określeń. Mówi się o nas, że walczymy z alkoholizmem, bo jesteśmy chorzy i nie mamy możliwości wyboru między pić, a nie pić. Albo, że jesteśmy dwulicowi. Podobnie, na zewnątrz, walczymy z pijanstwem, a w życiu prywatnym postępujemy inaczej.

W rzeczywistości my nie forsujemy prohibicji, nie namawiamy do absolutnej abstinencji, uważamy, że wódka jest dla ludzi. Chodzi o to, żeby pić z umiarem, kulturalnie, żeby wódka nie była źródłem strumienia przy każdej okazji, albo bez okazji, jak to dzieje się na każdym niemal kroku. Prohibicję należy zachować wtedy, kiedy jest ona niezbędna, np. w ruchu komunikacyjnym.

W rozpiętym społeczeństwie aktywna działalność w Społecznym Komitecie Przeciwaalkoholowemu wymaga cywilnej odwagi.

Jesteśmy stowarzyszeniem wyższej użyteczności skupiającym w kraju około 250 tys. członków. W pierwszym rzędzie prowadzimy działalność informacyjno-oświatową o niebezpieczeństwach i skutkach pijanstwa oraz alkoholizmu, zajmujemy się profilaktyką wśród dzieci i młodzieży, upowszechniamy wiedzę o alkoholizmie i jego następstwach w zakładach pracy, bierzemy udział w pracach komisji ds. zwalczania alkoholizmu działających przy organach administracji państwowej, angażujemy się w ruch Anonimowych Alkoholików.

W województwie zielonogórskim do SKP należy 13.656 osób skupionych w 370 kółach. Kółka działają w zakładach pracy, w szkołach, w osiedlach mieszkaniowych, na wsi, w wojsku, wśród nauczycieli, w organizacjach młodzieżowych. Mamy 13 oddziałów terenowych SKP i 2 Komisje do Spraw Działalności Przeciwaalkoholowej w jednostkach wojskowych.

Przeglądaliśmy broszury SKP. Są na wysokim poziomie, ładnie wydane. Nie ma w nich nic z łopatologii stosowanej przed laty w stylu: pijesz, płacisz, zdrowie tracisz. Naprawdę warto je przeczytać. Dwójcie się i trójcie nie tylko w wydawnictwach. Organizujcie imprezy estradowe, konkursy trzeźwości, zgadzaj-gadaj, wystawy, projekcje filmowe. A ludzie piją nadal coraz więcej. Czy nie frustruje was to wołanie w puszczy?

— Ma pani rację. Społeczeństwo pije coraz więcej. W Polsce wypija się najwięcej na świecie mocnego alkoholu w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Statystyczny Polak wypija około 8 litrów czystego spirytusu rocznie. Wielkość ta wynika z odpowiedniego przeliczenia wszystkich rodzajów wypitego alkoholu. W naszym kraju jest około 4 miliony ludzi nadużywających alkoholu, w tym około 1 milion osób uzależnionych od alkoholu. Ludność kraju wydawała w 1985 r. na zakup alkoholu 733,3 miliarda złotych.

Jeśli wziąć pod uwagę ogromne obszary alkoholizmu i pijanstwa, można więc mieć wątpliwość: czy nasze działania są skuteczne? Można zapytać inaczej: a co by było, gdyby nas nie było? Działalność zorganizowana jest zawsze bardziej skuteczna od przypadkowej.

Jednak skuteczność naszych działań jest niewymierna. Jak obliczyć, ile osób przestało pić lub pić mniej na skutek przestróg SKP? Jak obliczyć, ile dzieci z rodzin uzależnionych od alkoholu nie zostało w dorosłym życiu pijakami? Chodzi o dzieci, którym w krytycznych momentach życia pomogliśmy, izolując je od domów rodzinnych.

Uważam, że każde, nawet drobne przeciwstawienie się pijanstwu i alkoholizmowi ma wagę społeczną. Każdy uratowany człowiek jest ważny. A uratować najłatwiej tych, co jeszcze nie uzależnili się od alkoholu. Dlatego tak dużo uwagi poświęcamy dzieciom i młodzieży. Każdego roku nasz Zarząd Wojewódzki organizuje kolonie i zimowiska dla dzieci z rodzin uzależnionych od alkoholu.

A potem te dzieci wracają do pijackich domów...

— Wracają, ale lepiej odżywione, odziane, odprężone psychicznie. Tak na prawdę, to nie wszystkie chcą wracać do domu. Na kolonie przyjeżdżają w strasznie złym stanie. Są zaniedbane, niedokarmione, wystraszone, zagubione. Wstydzą się.

Przez kilkanaście lat działał w naszym województwie unikalny Dom Wczesów Dziecięcych w Przemkowie k. Szprotawy. Powstał dzięki staraniom ofiarnych ludzi, głównie kolegi Henryka Kowalskiego wieloletniego etatowego sekretarza ZOW SKP. Dzieci przebywały tam trzy miesiące (w razie potrzeby dłużej), miały opiekę lekarską, pomoc w nauce, a przede wszystkim spokój, nie musiały bać się pijanego tatę. Po reformie administracji Przemków znalazł się w woj. legnickim, a Dom Wczesów Dziecięcych za-

mieniono w ośrodek dla młodzieży trudnej. Od kilku lat staramy się o uruchomienie nowego ośrodka dla dzieci alkoholików.

Te działania dotyczą skutków nalogu. Naszym pierwszoplanowym zadaniem jest jednak profilaktyka. Nie mamy uprawnień władczych pozwalających podejmować decyzje, nie mamy możliwości egzekwowania. Możemy przestrzegać, wnioskować, opiniować, współpracować, krytykować.

Na przykład?

— Nie uważamy się za wyrocznię w propagandzie antyalkoholowej, ale mamy wiele krytycznych uwag do tej propagandy. Oglądając telewizję, odnoszę wrażenie, że u nas kwitnie propaganda nie antyalkoholowa, lecz alkoholowa. Przy byle okazji z ekranu telewizyjnego leje się rzeka wódki. Wódka jest, stym rekwiizytem w filmach, widowiskach. Na ekranie piją ją nie nalogowcy, lecz ludzie skądinąd pozytywni.

Tak jest w telewizji, bo wódka jest na każdym kroku w życiu, a reżyserzy pokazują życie, nie sądzi Pan?

— Zgoda, ale chodzi mi o coś innego. Nieopatrznie, może niezamierzenie, lansuje się picie i te sceny zapadają w pamięć. Natomiast audycje, programy specjalne, poświęcone zwalczaniu pijanstwa są rzadkie, drętwe, nieciekawe.

Podobnie jest z różnymi hasłami ostrzegającymi. Handel i gastronomia mają obowiązek przy stoiskach monopolowych wywieszać ostrzeżenia o szkodliwości alkoholu. Wywieszają takie tabliczki. W praktyce to wygląda tak: półki pełne butelek z kolorowymi etykietami reklamują się same, a gdzieś z boku wiszą sobie ostrzeżenia. Taki widok budzi politowanie, na kilometr można wyczuć, że robi się to na siłę.

SKP prowadzi propagandę sumptem społecznym. Robimy to, na co nas stać. Uważam, że robimy to właściwie, ale niewystarczająco. Możemy być tylko czynnikiem wspomagającym, uzupełniającym państwo, które w walce z alkoholizmem dysponuje wszelkimi możliwościami. Państwo ustala odpowiednie przepisy, ma możliwości egzekwowania. Jest regulatorem problematyki ekonomicznej wiążącej się z produkcją i dystrybucją alkoholu.

Jak to wygląda w praktyce?

— W Polsce najgorszą plagą jest nie ilość wypitego alkoholu (we Francji piją więcej), ale samobójczy sposób, w jaki się go pije. Polacy piją mocne trunki i spożywają duże ilości w krótkim okresie czasu. Dlatego alkohol szkodzi nam bardziej niż innym narodom, dla tego jest czynnikiem kryminalnym.

SKP prowadzi kampanię na rzecz zmiany struktury spożycia alkoholu. Sugerowaliśmy ograniczenie produkcji i sprzedaży mocnych trunków na rzecz dobrych win. Nasze sugestie przyjęto. Wina niby pojawiły się w większej ilości, ale wódek nie ubyło.

Czyli inaczej mówiąc, w sumie jakby przybyło.

— Produkuje się masowo wino krajowe, ohydne, nadające się do upijania, a nie do smakowania. A nie o to przecież chodzi.

Od kilku lat walczymy o wprowadzenie nie do handlu małych butelek, popularnych kiedyś ćwiartek. Bywa, że dwie osoby chcą wypić po kielichu. Wystarczyłyby ćwiartka, a oni muszą kupować pół litra. Władze państwowe wydały zalecenie produkcji ćwiartek, ale jakoś nie widać ich w sklepach. Nie mogę uwierzyć w trudności obiektywne.

Czy ustawa „O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi” obowiązująca od maja 1983 roku działa skutecznie?

— Ustawa zaostrzyła rygory. Widać to wyraźnie w zakładach pracy. Uporządkowano też dystrybucję alkoholu. SKP ma w tej sprawie kompetencje opiniodawcze. Kto chce uruchomić punkt sprzedaży, musi mieć zgodę terenowego organu administracji państwowej. Z kolei każde ogniwo administracji musi mieć naszą opinię. I ta opinia jest respektowana.

W naszym województwie jesteśmy zadowoleni ze współpracy z administracją. Mamy dostateczne fundusze na działalność statutową. Pochodzą one z dotacji państwowych i ze składek naszych członków.

Mamy licznych sojuszników — Ligę Kobiet, PKPS, oświatę, milicję, Towarzystwo Trzeźwości Transportowców, PCK, wojsko, i inne organizacje. Otworzyliśmy na współpracę z Kościołem rzymsko-katolickim, który ma swoich przedstawicieli w Zarządzie Głównym SKP. Widzimy potrzebę zacieśnienia kontaktów z organizacjami młodzieżowymi.

Ale obserwuję też inne zjawisko. Dział coraz trudniej pozyskać ludzi do bezinteresownej pracy społecznej. Baza jemy na tych, którzy związali się z SKP przed laty. Z ciałem ramięmi przyjmujemy wszystkich tych, którzy osobiste angażują się w walkę z pijanstwem, którzy mają odwagę przeciwstawiać się presji picia.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
LUCYNA GRABOWSKA



To zdjęcie zrobiono około godz. 18.00. Restauracja, dwoje ludzi, dwie szklanki wypełnione wódką i butelka. Na pierwszym planie starszy z mężczyzn, lat blisko 70. Obok zdjęcie drugie, wykonane w godzinę później. Ten sam mężczyzna około 70-ki leży bezwładnie w poprzek szosy. Po wyjściu z restauracji wpadł pod samochód. Na pierwszym zdjęciu zamykamy, ale żywy wzrok prosto w kamerę i niepewny uśmiech, z odrobiną może wstydliwym protestem, bo coś przecież musiał czuć ten stary człowiek, gdy spostrzegł, że jest znikąd fotografowany. Na drugim zdjęciu już nie, tylko śmierć...

Krótki, makabryczny serial z lat 60-tych rozegrany w Bytomiu Odrzańskim na wstrząsającą wymowę. Jest też zapisem paru chwil — spośród chwil setek tysięcy, składających się na 35 lat pracy zespołu ludzi, którzy walczą z pijanstwem, by zahamować jedną z plag XX wieku — alkoholizm. Ten zespół ludzi, to SKP: Społeczny Komitet Przeciwaalkoholowy.

Przeciwko Bachusowi

Halina Ańska



Z Henrykiem Kowalskim, długoletnim, rzec można odwiecznym sekretarzem Oddziału Wojewódzkiego SKP w Zielonej Górze, próbuję najpierw posiedzieć czas przeszły. Pan Henryk pamięta początki ruchu przeciwaalkoholowego na terenie obecnego województwa — w Nowej Soli podlegającej wówczas Wrocławowi oraz w Zaganiu, Szprotawie i wreszcie w Zielonej Górze, która leżała w obrębie województwa poznańskiego. Wraz z doktorem Marianem Mielnikiem, pikiem Zbigniewem Jasińskim, Leonem Konradym i innymi działaczami, pracował przy zakładaniu pierwszych poradni odwykowych.

Historia SKP zamknięta jest w trzech starych albumach. Mało która instytucja ma tak obrazowy zapis przeszłości. W tamtych latach pewną rolę w walce z pijanstwem odegrał aparat fotograficzny. Był bowiem zwyczaj, że pijanemu awanturnikowi doprowadzono do MO, robiono portret, żeby po tem mógł sobie obejrzeć, jak wyglądał. Czasem, również w celu wychowawczym, nagrywano pijackie belkoty. Portret mógł trafić do zakładu pracy lub gabiłoty w środku miasta, toteż niejednemu wolano zrezygnować z picia i rozrabiania, aby tylko ustrzec się przed czymś takim.

Początki leczenia odwykowego. Leżący na ziemi mężczyzna, przy nim butelka po denaturacie. Trzej pijani w knajpie, jeden szamocze się z żoną, która po niego przysiadła, drugi łożąc przy stole dziecko, wysłane tu, by sprawdzić tatusa do domu, trzeci śpi na krześle. W poradni odwykowej w Nowej Soli jej kierownik doktor Jarmużek z pacjentką, która połyka antycipol popijając wódką. Pan Henryk pamięta, że ta wysoka, tegę kobieta w niedługim czasie zmarła... Trzej mężczyźni i kobieta oraz podpis: „Niepoprawni alkoholicy skierowani na leczenie przymusowe w zakładzie zamkniętym w Obrzycach”.

Dziś nie ma leczenia przymusowego, alkoholicy podejmują je sami, jeśli chcą. Są przypadki zgłaszane w terenowych Komisjach do Spraw Przeciwdziałania Alkoholizmowi, przez rodzinę, zakład pracy, milicję. Komisja po zbadaniu, kieruje sprawę do biegłego, a ten — do sądu, gdzie alkoholik zostaje jedynie zobowiązany do podjęcia leczenia. Gdy zobowiązania nie dotrzyma, wówczas robi się następny wniosek, badania i następną sprawę w sądzie, a tymczasem taki ktoś rujnuje skutecznie rodzinę i siebie.

Działaczom ruchu przeciwaalkoholowego, w tym przede wszystkim milicji, nie pozostaje nic innego, jak perswazja, dżeczanie, pójakowanie wizytami i deptanie im po piętach. Starzy działacze SKP mówią, że ustawa antyalkoholowa obowiązująca od 1983 r. zniwieczyła ich dorobek. Dawniej z alkoholikami postępowano się bezpardonowo. Teraz — w rękawiczkach. Ustawa zlikwidowała przymus leczenia i wprowadziła tolerancję. Ze surowe są kary za handel wódką i pędzenie bimbru? Słusznie, ale co z tego, gdy legalnie kupie można wody monopolowej ile się chce?

Odwykowiec w Obrzycach prowadził doktor Stanisław Kozłowski. Był to oddział wzorowy, podziwiany i naśladowany w całym kraju. Zdjęcie: czterej pacjenci siedzący niczym w kawiarni i pielęgniarz, podający im rozcieńczony alkohol. Po takiej porcji dziennej podobno „rzygali jak koty”, każdy do swego nocnika... Stosowana tu była psychoterapia zbiorowa, z pogadankami i wspólnymi rozmowami z udziałem doktora, oraz leczenie pracą, co obrazują kolejne zdjęcia — szewców, tapicerów, wikliniarzy, introligatorów, nawet artystów — amatorów. Pacjenci nosili jednokolorowe dresy, codziennie musieli się gościć i mieć wygłansowane buty. Sami gotowali, zmywali i sprząтали, a także dbali o kwiaty w jadalni. Takie same rygory panowały na oddziale kobiecym.

W dzisiejszych klubach AA chodzi o oddziaływanie wzajemne na siebie ludzi walczących z nalogiem oraz o pomoc

zjadły — było ich dotychczas sześć. Fotografia sali obrad w Urzędzie Wojewódzkim 15 lutego 1979 r. Wśród wielu delegatów, długoletni przewodniczący SKP w Zaganiu Józef Owczarski i kierownik poradni odwykowej w Zarach felczer Gracjan Bazan, który na tym stanowisku pracuje do dziś, świetnie zna swych pacjentów, ich zdrowie, ich problemy i poświęca im cały swój czas. Lekarz po winieniu wywierac wpływ na alkoholicy, gorzej, gdy jest odwrotnie. Znany wszystkim przypadek kierownika jednej z poradni odwykowych zakończył się tragicznie... Lekarz ten rozpiął się i po prostu się wykończył. Taką wysoką cenę można zapłacić za nerwy utrzymywane wciąż w wysokim „C”, za patrzenie na coś, co wzbudza odrętwienie, w końcu za pracę, w której efekty się nie wierzy. Można wątpić w sens istnienia i stracić się na zawsze...

Henryk Kowalski mówi, że już coraz rzadziej spotyka się takich ludzi, jakimi byli Franciszka i Alfons Sztolowie, pielęgniarz i lekarz, którzy bezinteresownie, z niebywałą ofiarnością opiekowali się dziećmi alkoholików, za własne pieniądze kupowali im odzież, słodycze, książki i zabawki oraz organizowali pomoc zonom. Obecnie dziećmi takimi z własnej potrzeby serca opiekują się nauczycielki: Danuta Kosciółko w Ślawie i Jadwiga Schoen w Zaganiu. O zdrowie i byt rodzin dotkniętych alkoholizmem zabiegają panie, sprawujące funkcję sekretarzy oddziałów SKP: w Wolsztynie Maria Koziołkowska z Urzędu Miasta i Gminy i w Zaganiu Irena Kuć z PCK. Sekretarzem oddziału SKP w Nowej Soli jest emeryt Piotr Konopnicki, który w krótkim czasie zdołał nawiązać dobrą współpracę ze szkołami, także w Bytomiu Odrzańskim i Koźuchowie.

Co będzie, gdy odejdzie stara generacja? — martwi się p. Kowalski. Młodzie, wychowani na edukacji telewizyjnej, żyją szybko i są zbyt zajęci własnymi sprawami, by pochylać się nad cudzym nieszczęściem. Nie wiadomo dlaczego trudniej jest dziś, niż dawniej, wzbudzić w kims myśl, że cudze nieszczęście, to kropla nieszczęścia społecznego, a więc — dotyczy także i mnie...

Dzisiaj dzisiejszy zielonogórski SKP: trzynastcie oddziałów w terenie plus dwie, odpowiadające oddziałom „komisje koordynacyjne” w wojsku. Tu aż się proszą o przypomnienie dwa nazwiska: p. Zygmunt Traczyka i chor. Ludwika Dłużewskiego. Szczegół nie jest są kółka: 102 w zakładach pracy, 24 w osiedlach, w szkołach 112 wśród uczniów i 69 wśród nauczycieli — i tak dalej. W sumie w województwie działa 370 kół SKP, zrzeszających ponad 13,5 tysięcy członków.

Co się robi przede wszystkim? Przede wszystkim robi się profilaktykę, gigantyczną, nieustanną akcję, którą zarząd wraz z biurem SKP uważa za wciąż jeszcze niewystarczającą. Ono robi się co tylko można, a choroba społeczna wciąż się pogłębia... W szkołach już od najmłodszych klas daje się słowo, do tego film o alkoholu, z czego jest robiony i do czego doprowadza je go spożywanie. W ub.r. w szkołach od było się łącznie prawie 800 prelekcji na tematy przeciwaalkoholowe, wysłuchanych przez 20 tysięcy uczniów, dwa tysiące nauczycieli oraz 3,5 tysiąca rodziców. Blisko 4,5 tysiąca słuchaczy miały w ub.r. pogadanki w zakładach pracy. Z pogadankami, nierzadko urozmaiconymi konkursem ze znajomości przepisów prawnych, wchodzą SKP do aresztów siedzących w Zielonej Górze, Lubsku i Nowej Soli, do więzienia w Krzyżanówce i Domu Wychowawczego w Lubosławcu.

Henryk Kowalski uczestniczył w zlocie Klubów AA w Szczepku i wrócił poruszony. Na Śląsku do klubów tych przywiązują się dużą wagę społeczną, a kopanie nie żałują pieniędzy z funduszu społecznego na spotkania, ogniska i herbatki, aby człowiek walczący z chorobą alkoholową nie musiał pozostawać sam ze swoimi myślami, aby nie pozwolić mu na powrót do picia. W poradniach odwykowych, gdzie pracuje tylko lekarz i pielęgniarz, brakuje czasu nawet na dłuższą rozmowę, nie mówiąc już o niedzielnym herbatkach. Toteż umacnia się i rozkręca pierwszy w województwie zielonogórskim Klub AA, który podobno już niebawem przeniesie się z ulicy Wyspiańskiego na Deptak, do piwnicy pod „Ratuszową”. Myśli się o Klubie AA w Zarach, Gubinie oraz w Nowej Soli, gdzie propagatorką idei jest doktor Mirosława Sobczyk.

Co jeszcze robi SKP? Organizuje koncerty estradowe, których myślą przewodnią jest przeciwdziałanie alkoholizmowi (w ub.r. były 44 takie koncerty dla 11 tysięcy widzów), sobotnie festyny w mieście i na wsi, wspólnie z milicją i rodzinami wojskowymi turnieje dla kierowców i także dla kierowców olimpiady, we współdziałaniu z TTT. W ub.r. około 10 tysięcy kierowców wzięło udział w różnego typu rywalizacjach SKP.

Do działalności profilaktycznej należy też wyświetlanie filmów dokumentalnych (w ub.r. odbyły się 994 seanse), kręcone w izbach wytrzeźwień, szpitalach, melinach, zaułkach... Henryk Ko-

Ciąg dalszy na str. 4

walski, który w ciągu tych prawie 40 lat niejednemu widział, zawsze czuje dreszcz na przypomnienie filmu, przed stawiającego zakład dla kłopotliwych potworków ludzkich, spłodzonych przez ojca alkoholika i urodzonych przez matkę alkoholikę... Równie sugestywne są wystawy fotograficzne, w których ukazujące dobre i złe przykłady, z działalności komitetów przeciwalkoholowych i milicji.

Co ponadto? SKP kontroluje przestrzeganie przepisów o trzeźwości w zakładach pracy, sprawdza wywiezki w sklepach informujące, że „alkohol niszczy kiesz i zdrowie”, koncesje na sprzedaż wina i piwa, sale bezaalkoholowe w restauracjach oraz witryny sklepowe, czy nie stoją tam butelki z alkoholem, bo alkohol reklamować nie wolno. Z drugiej strony właśnie butelki z alkoholem występują w coraz atrakcyjniejszych opakowaniach, przyciągających wzrok kształtem i kolorami, podczas, gdy wiele produktów pakowanych jest brzydko i niedbale!

Chcąc wymienić nazwiska wszystkich działaczy zasłużonych dla ruchu przeciwalkoholowego wczoraj i dziś, trzeba by stworzyć tasemnicę na wzór książki telefonicznej. Chcąc wymienić wszystkie przedsięwzięcia i dokonania SKP w przeszłości i obecnie, trzeba by napisać wielokartkową monografię. Wiele w skrócie raz jeszcze tylko o sprawie, która obok profilaktyki wydaje się być dla SKP najważniejsza: do pomocy dzieciom.

Są dramaty. W Ślawie aresztowano kobietę, która zamordowała swego przyjaciela, w domu została samotnie dziecko SKP otoczył je opieką. W Nowej Soli, Otyniu i paru miejscowościach zaszła konieczność odizolowania dzieci od rodziców. I tu z pomocą pośpieszył SKP. Zdaje się, że w klasie, na pytanie — kto dziś jeszcze nie jadł śniadania, podnieśli się kilka rączek. Dlatego, jak mówi p. Kowalski, lepiej zakupić mniej ulotek i mieć skromniej w biurze, a za to nakarmić dzieci z rodzin chorych. W ub. r. dożyłaniem SKP objął ogółem w województwie 2621 dzieci, dla półtora tysiąca dzieci kupił odzież i bućki, a ponad dwóm tysiącom sprawił prezenty na Dzień Dziecka.

Nie ma wczasów w Leśnej Górze, ale są za to kolonie w Smieszowie, na których wypoczywało podczas ostatnich lat 210 małych podopiecznych. Jest też Sanatorium Dziecięce w Zaborze, gdzie za sprawą dyrektora, lekarza pediatry Rudolfa Greczki i jego pracowników, dzieci z rodzin upośledzonych przez alkoholizm znajdują, poza rehabilitacją i leczeniem, ciepłą, rodzinną atmosferę oraz zrozumienie i pomoc w trudnych problemach.

Podczas najbliższego Zjazdu Delegatów SKP w Zielonej Górze wręczone będą odznaczenia, dyplomy i pamiątkowe medale z wizerunkiem mężczyzny i napisem w otoku: „Dr Jakób Szymkiewicz 1775—1818”. Warto wiedzieć, że dr Szymkiewicz — prekursor ruchu antyalkoholowego w Polsce, był doktorem nauk wyzwolonych, filozofii, medycyny i chirurgii, nadwornym konsyliarzem imperatorskim, członkiem loży masonów w Wilnie, akademii medycyny w Warszawie i towarzystwa medycznego w Paryżu, autorem wielu prac drukowanych, reformatorem, filantropem i człowiekiem znanym powszechnie z dowcipu i fantazji. W 1818 roku ukazało się jego autorstwa pierwsze polskie „Dzielo o pijaństwie”, w którym poza historią picia i chorobami z tego wynikającymi, podane są sposoby odwydzania się od nalogu.

N a karcie tytułowej w tej księdze jest scena, gdy Minerva z Esku-
lupem czyli bogini mądrości z bogiem lekarzy wypędzają Bachusa... Trudna sprawa! Z Zielonej Góry Bachus wypędzić się nie pozwoli, któżby zresztą śmiał to uczynić i potrafił? wszak to jemu co roku, Bachusowi, urządzają się święta w porze winobrania... Jednakże chciałoby się, aby ten zielonogórski Bachus nie był rozpiętym, wulgarnym grubasem, a jedynie wesółym bogiem wina... Jednego kieliszka wina, nie tysięcy litrów, za miliony złotych.

I tego właśnie życzyć przesłano Wojewódzkiego Zarządu SKP Marianowi Flaumowi, wiceprezesa Stanisławowi Kądzielskiemu i Krzysztofowi Kidawie, skarbnicze Urszuli Turkowskiej, mojemu interlokutorowi Henrykowi Kowalskiemu wraz z instruktorami Marią Szelaż i Haliną Pogodą, także z prowadzącymi sprawy TTT Stefanem Piechnikiem — oraz wszystkim członkami Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego i ich sprzymierzeńcom.

HALINA ANSKA

pełne i konsekwentne wdrożenie reformy gospodarczej, na zmianę skostniałych struktur organizacyjnych w działalności gospodarczej i społecznej, na restrukturyzację naszej gospodarki i powolne pokonywanie głębokiego kryzysu gospodarczego, w którym tkwimy od wielu lat.

Z tych też względów nacisk społeczny oraz prace wielu środowisk naukowych skierowane są na podkreślenie konieczności reformowania i reorganizacji centrum, na bezwarunkowe ograniczenie jego wpływu na procesy gospodarcze przy pomocy nakazów i zakazów, na likwidację podziałów branżowych i tworzenie w to miejsce układów funkcjonalnych, na wprowadzanie trwałych mechanizmów parametrycznych w życiu gospodarczym naszego kraju, na przywrócenie blasku i znaczenia podstawowym instrumentom ekonomicznym, takim jak: pieniądź, cena, kursy walut, stopa procentowa, polityka celna i dalej takim obszarem gry ekonomicznej, jak rynek, gospodarka pieniężno-towarowa, wymiana zagraniczna, polityka redystrybucji środków budżetowych itp.

Bez uporządkowania podstawowych elementów gry ekonomicznej, nie może być mowy o sukcesie i powodzeniu samej gry. Potrzebna jest więc w tym zakresie zmiana w polityce ekonomicznej. Do tego zaś nie wystarczy same deklaracje o potrzebie reformy, lecz konieczne jest pełne i konsekwentne wdrażanie jej podstawowych założeń. Niezbędnym warunkiem doskonalenia systemu funkcjonowania gospodarki i tym samym przyspieszenia procesu wychodzenia z kryzysu jest stworzenie odpowiedniego klimatu społecznego, sprzyjającego reformom gospodarczym: konieczne jest więc ujawnienie wszystkich barier i metod ich przezwyciężania, ujawnienie i zneutralizowanie wpływu sił zachowawczych i przeciwnych reformie, które z pozycji dogmatycznych dezawuuja reformę i blokują wszelkimi dostępnymi sobie środkami proces przemian społeczno-gospodarczych uchwalonych przez IX i X Zjazd Partii.

Sprawne i konsekwentne przeprowadzenie głębokich reform w systemie funkcjonowania naszej gospodarki jest nakazem i koniecznością, bez której nie ma szans na pokonanie kryzysu gospodarczego i przywrócenie zaufania do polskiej gospodarki na forum międzynarodowym. Przeprowadzenie tej operacji na chorym organizmie gospodarki narodowej wymaga nowych i w pełni zaangażowanych w procesy przemian kadr, zarówno na szczeblu centralnym administracji gospodarczej, jak też i na szczeblach pośrednich, nie wyłączając przedsiębiorstw i instytucji państwowych.

Reforma gospodarcza systemu funkcjonowania gospodarki i jej mechanizmów, jako zobiektywizowanych kategorii ekonomicznych, jest z pewnością procesem ciągłym i niezwykle złożonym. Odkładając jej w nieskończoność jednak nie można, gdyż grozi to katastrofą gospodarczą o trudnych do przewidzenia skutkach. Zgodzić się więc trzeba z jakże słusznym twierdzeniem rzymskiego pisarza Horacego, który już w I wieku przed naszą erą pisał: „*Połowę dzieła dokonaj ten, kto zaczął!*”. Zaczniemy więc konsekwentnie i skutecznie naprawiać naszą gospodarkę, mając jednak na uwadze, że mamy tylko jedno wyjście — reformy gospodarcze i polityczne musi poprzedzać reforma myślenia. Ponieważ ta tak ważna reforma jeszcze się nie dokonała, dlatego też przemiany gospodarcze, polityczne i społeczne są takie, a nie inne.

— X —

Proces reformowania naszej gospodarki wymaga wzmocnienia i przyspieszenia. Przekazując w dniu 27 stycznia 1986 r. przewodnictwo Komisji do Spraw Reformy Gospodarczej premierowi Messnerowi — gen. Jaruzelski stwierdził między innymi, że: „*Reforma jeszcze nie zwyciężyła, ale się obroniła...*”. Można zadać pytanie: na jak długo się obroniła?

Te obawy powstają chociażby na podstawie tendencji antyreformatorskich, które w projektowanych zmianach przepisów w czwartym kwartale 1986 r. zmierzają do dalszego ograniczenia samodzielności i samodzielności przedsiębiorstw, i powstrzymane zostały w ostatniej chwili w Sejmie.

Wszyscy są zgodni, że reformy należy kontynuować i przyspieszać jej wdrażanie. gdyż jest ona ostatnią deską ratunku dla naszej gospodarki. Klimat polityczny i społeczny na rzecz wzmocnienia reformy ma swoje również źródło w podejmowanych próbach głębokich przemian gospodarczych w Związku Radzieckim i Chinach. Pozytywne sukcesy tych przemian pozwalają na eliminację lub osłabienie wpływu sił dematycznych, hamujących polską reformę. Już nie ma posadzeń o rewizjonizm, walkę z socjalizmem, bądź odstępstwo od jego pryncypiów. Również za wzmocnieniem reformy przemawiają obiektywne raporty Banku Światowego, którego eksperci stwierdzają, że „...po prawa polskiej gospodarki zależy od szybkiego wprowadzenia reformy — szybszego niż zerwała ją akty legislacyjne i dalej — „*Reformowanie gospodarki nie zaszło jeszcze tak daleko, aby można było mówić o powstawaniu nowego systemu ekonomicznego. Nadal dominują pozostałości trady-*

cyjnego modelu zarządzania i jeśli nie będą one systematycznie eliminowane, to mogą w krótkim czasie doprowadzić do erozji lub wypaczenia nowych mechanizmów i — w rezultacie — do powrotu na utarte szlaki”.

Czy istnieją więc szanse na uratowanie polskiej reformy, z którą wiązane były nadzieje na poprawę naszego bytu, na przywrócenie należnego nam miejsca we współpracy i wymianie między narodowej, na wyprowadzenie gospodarki z głębokiego kryzysu?

To są pytania, które nurtują dziś cały naród oraz wszystkie siły polityczne i społeczne naszego kraju. Bez udzielenia odpowiedzi wiarygodnej na te pytania nie ma szans na przyspieszenie rozwoju gospodarczego i poprawy klimatu społecznego, niezbędnego do wdrażania reformy. Znanie jest twierdzenie S. Witkiewicza, że „*Sceptycyzm i cynizm w sferze zagadnień społecznych, są objawami niskiego stanu uczuć*”.

A jakie mogą być uczucia społeczności polskiej tyle razy, mówiąc delikatnie, doświadczonej szermowaniem różnych hasel reformatorskich po każdym kryzysie społecznym? Nie można się więc dziwić, że obecnie to społeczeństwo ma pewien dystans do głoszonych deklaracji, oczekuje bardziej na konkretne rezultaty działania władz i nie zadowolona się ruchami pozornymi.

Pierwszym zatem krokiem zmierzającym w kierunku pozyskania społeczeństwa na rzecz reformy gospodarczej, to odzyskanie zaufania i wiarygodności władzy. Osiągnięcie tego jest możliwe tylko przez konkretne i wiarygodne działania.

Drugi warunek powodzenia reformy, to niestanny proces uczucia się na wszystkich szczeblach i we wszystkich zawodach. Dotyczy to zarówno robotnika jak i inżyniera, dyrektora i profesora, majstra i ministra. Reforma gospodarcza, jeśli ma stać się procesem postępu cywilizacyjnego, wymaga ciągłego uczucia się w Polsce stworzonego obecnie dobrego systemu badań i opinii, ekspertyz i doradztwa na szczeblu najwyższym. Sejm ma Radę Społeczną-Gospodarczą, zespoły ekspertów, Rząd — Konsultacyjną Radę Gospodarczą, zespoły doradcze itp. Problem polega na tym, aby nie były to ciała fasadowe, „aby była dobra transmisja wyników ich pracy i prawidłowe wykorzystanie opinii”.

Trzeci warunek — to skończenie z fikcją i pozornym działaniem oraz odgórnym dyktowaniem różnymi akcjami, jak: przeglądy zatrudnienia, przeglądy rezerw, zapasów, wartościowania pracy, postępu technicznego itp. Są to akcje nieskuteczne i nieefektywne. Np. były trzy przeglądy zatrudnienia — czy ktoś zbadał, jakie były ich wyniki i jak zostały wykorzystane? Nie, ale obecnie proponuje się czwarty przegląd, mimo że niedawno był przeprowadzony w związku z wprowadzeniem ustawy o nowych zasadach wynagradzania. W tym zakresie konieczność dokonania takiego czy innego przeglądu musi wynikać z potrzeb efektywnościowych i organizacyjnych same pomocy takich instrumentów centrum. To trzeba uświadomić sobie raz na zawsze. Stosowane przez centrum różnego rodzaju akcje przeglądowe budzą opór i sprzeciw w jednostkach podstawowych i są po prostu „odciążkowne”, gdyż z góry wiadomo, że w ich wyniku nie nastąpi żadna poprawa. Akcje te podważają wiarygodność Intencji władz wobec samodzielności i samorządności przedsiębiorstw, do trwałości ustaleń rozwiązań i są antybodycem psychologicznym reformy.

Czwarty warunek — to konieczność zerwania z demagogicznym mitem, że gospodarka rynkowa to walka o przejęcie władzy, czy negacja socjalizmu, a więc rewizjonizm, wsteczństwo i zamach na pryncypia ustroju. Skończyć trzeba z pseudonaukowym rozumianiem teorii i praw „ekonomii socjalizmu” i przeciwstawianiu ich prawom „ekonomii kapitalizmu”. Podobnie jak nie ma fizyki czy chemii kapitalistycznej i socjalistycznej, lub nauk medycznych w ten sposób podzielonych — tak również urojeniem jest dzielenie praw ekonomicznych. Sposób produkcji, zarówno w kapitalizmie jak i socjalizmie, jest ten sam. Podobnie wyglądają takie kategorie ekonomiczne, jak zysk, koszt, cena, strata, rynek, konkurencja itp. Inny może być tylko podział uzyskanych efektów działalności gospodarczej, źródła własności środków produkcji. Podział taki wyrażają już wiele szkód w mentalności i ludzkiej psychice, w podejściu do pracy, jej jakości i efektywności, w dyscyplinie pracy, w

poszanowaniu czynników i środków produkcji, reżimów technologicznych i w ogóle w optymalizacji gospodarowania.

Zgodzić się trzeba z jakże słusznym twierdzeniem A. Słonimskiego, który pisał: „*Lepszym jest otwarty i szczerzy oponent, od zawsze gotowego do usług podskakiwacza, który szermując hasłami i frazesami — jednocześnie swym działaniem szkodzi gospodarce*”.

Wdrażanie reformy gospodarczej, oprócz wymienionych wyżej warunków psychologicznych i społecznych, wymaga konkretnego działania i porządkowania gospodarki w różnych jej sferach. Do najważniejszych obszarów w tym zakresie należy zaliczyć:

Po pierwsze: przywracanie równowagi rynkowej i zwalczanie inflacji. Mechanizmy reformy gospodarczej degenerują się w warunkach równowagi. Latwiej bowiem ukryć marnotrawstwo czy bałagan przez operacje cenowe, niż przez zwiększenie wydajności pracy, poprawę efektywności itp.

Nierównowaga rynkowa jest produktem wadliwych stosunków społeczno-politycznych w państwie. Państwo daje więcej niż posiada. Dzieje się to za pomocą emisji dodatkowej pieniądza i wtedy mamy do czynienia z inflacją, lub przez nierównowagę rynkową, a więc przez pieniądź, ale nie ma towaru. Obydwa metody są oznaką słabości państwa i świadczą o psuciu pieniądza oraz systemu ekonomicznego.

Znane jest twierdzenie Kcynsa: „*Jeśli chcecie zniszczyć kraj, to psujcie pieniądź*”. Nierównowaga i inflacja jest skutkiem „pozornego dawania” przez państwo dodatkowych środków, a źródłem tego jest walka różnych grup o interesy partycularne, a więc o dodatkowe dochody, inwestycje, programy, cele, itp. Jest to walka interesów partycularnych z interesem ogólnospołecznym i państwo w tę grę daje się wciągnąć. Walka o korzyść — to gra; z teorii gier wiadomo, że może być gra o sumie zerowej, tzn. że jeśli się jednemu zabierze, to drugiemu można dać. Ktoś jest pokrzywdzony, ale w sumie nie traci się. Jest to jednak gra o sumie negatywnej, gdyż całe społeczeństwo traci, nie możemy uporządkować gospodarki, tkwimy w inflacji i nierównowadze już sześć lat i reforma jest przez to mocno hamowana. Taki stan rzeczy wynika ze słabości państwa, z obawy przed podejmowaniem niepopularnych decyzji. Łatwiej rządzić, będąc dobrym, można dawać, dzielić, nie odmawiać itp.

Zarówno naukowcy, jak i politycy są zgodni, że potrzebna jest równowaga — a aparat państwowy nie potrafi jej zagwarantować. Dlaczego? Bo aparat ten ma własną socjologiczną przetrwaną. Dotychczas, po każdym kryzysie, zmieniano polityków a aparat pozostawał niepokorny. Mimo nowych programów, apeli i intencji polityków — aparat rządził się swoimi prawami — dalej dzielił, dawał, rozszerzał front inwestycyjny, zwiększał zatrudnienie, zadłużenie itp.

Sedno problemu tkwi więc w tym, że oprócz słabości państwa, błędów polityki — nierównowaga i inflacja wynika również z **niedowładu instrumentalnego**. Polega to na walce interesu partycularnego z interesem ogólnospołecznym. Wiadomo, że walka o podział dochodu, dóbr materialnych, ma charakter branżowy, grupowy. Na straży prawidłowego podziału, a więc na straży interesu ogólnospołecznego, powinno stać Ministerstwo Finansów, ale ono też ma podział branżowy. O wyborze decydują trzy czynniki: informacja, motywacja i siła przetargu. Nie ulega wątpliwości, że lobby branżowe ma lepszą informację, motywację i meżów opatrnościowych, gwarantujących dużą siłę przebicia. I dlatego też wygrywa interes partycularny nad interesem ogólnospołecznym.

Jest to również doping i argumentacja cyniczna do tworzenia różnych gwa-
rekw, monopolu węgla i stali oraz me-
gawatów itp. — gdyż wtedy będą wzmo-
cnione naciski na centrum planistyczne
o różne przydziały środków i fundu-
szy. Brak kojarzenia interesu partycu-
larnego z ogólnospołecznym jest głów-
nym wyzwaniem i zagrożeniem dla refor-
my i może być tylko zwalczony przy-
musem ekonomicznym.

Po drugie: reforma wymaga stabilizacji i prawidłowej polityki finansowej,

zorientowanej na efektywność działania. Trzeba stwierdzić, że nasza polityka finansowa nie ma orientacji na efektywność. Historycznie wykształciły się podstawy tzw. „urawniłowki” i ega-
litarystu, które przekreślają efektyw-
ność. Ministerstwo Finansów stosuje
sprawiedliwość fiskalną, polegającą
na tym, że każdy musi coś dostać
np. fundusz socjalny, mieszkaniowy,
nagrody itp. Jak nie ma zysku, to prze-
da jednostce dać dotację, ulgę i to czę-
sto pozyskujemy. W ten sposób przy-
pomocy takich instrumentów centrum
łamiemy cały system motywacyjny przed-
siębiorstwa. Jest to pseudosprawiedli-
wość społeczna, przynosząca duże szkody.
Ta gra centrum wynika z faktu,
że aparat lubi rządzić, w myśli zasady
„*divide et impera*” (dziel i rządź) oraz
inne „*Jak najmniej odpowiedzialności
i jak najwięcej uprawnień*”.

Trzeba koniecznie odwrócić te ten-
dencje biurokratyczne. Już kilkadzie-
siąt lat temu Witkacy pisał: „*Mechaniz-
my społeczne i polityczne coraz bar-
dziej złożone, coraz bardziej anonimowe,
ograniczają z roku na rok działalność
jednostki*”. Nie ulega przecież wątpli-
wości, że państwo stosując taką a
nie inną politykę ma do wyboru
albo być miękkiem dla przedsiębiorstw
i twardym dla ludności, albo odwrot-
nie. Historycznie okazuje się, że zwy-
cięża pierwszy wariant, w którym pań-
stwo jest zbyt miękkie wobec przedsię-
biorstw, rozprzestrzenia marnotrawstwo,
bałaganu i braku efektywności koszt-
em obciążenia społeczeństwa — stosu-
jąc twardą politykę podnoszenia cen.
Zerwanie z tą praktyką wymaga zmia-
ny powiązań aparatu centralnego z
przedsiębiorstwami i pozabawienia moż-
liwości indywidualnych interwencji.

Po trzecie — konieczna jest zmiana
struktury władzy oraz radykalna przebu-
dowa centrum. System nakazowo-
rozdziałczy na trwałe zakorzenił się w
naszej gospodarce i mimo woli politycz-
nej, i wielu uchwał partyjnych, nie
udało się go zrehabilitować w całym
czterdziestolecu. Bez zmiany struk-
tur w organizacji centrum, bez likwi-
dacji układów branżowych, nie uda
się wdrożyć reformy, bo są to wykluc-
czające się zagadnienia i sprzeczne z
normalnym rozwojem zdrowego orga-
nizmu.

Nie ulega wątpliwości, że realizacja
reformy wymaga radykalnej przebudowy
organizacyjnej centrum gospodar-
czego, określenia w sposób jasny i
precyzyjny jego celów, zakresu działa-
nia i odpowiedzialności. Cała sfera sys-
temowo-regulacyjna powinna być zloka-
lizowana w gestii ministerstw funk-
cjonalnych, z jednoczesną likwidacją
wszelkich elementów uznaniowych i
przetargowości. Likwidacja resortów
gałęziowych, które paraliżują gospodar-
kę — pozwoli na skuteczniejsze za-
rządzanie państwem przez rząd i jego
organy sztabowe.

Po czwarte: wielkim problemem w
naszej polskiej rzeczywistości jest po-
wazne zadłużenie i brak na razie per-
spektyw na jego zmniejszenie. Stan
obecny zadłużenia, wynoszący 33,7 mld
dolarów i 6,4 mld rubli, jest już wy-
starczającym hamulec rozwoju gospo-
darczego i tym samym wielką przeszkodą
w wdrażaniu reformy. Różne są
szacunki i scenariusze kształtowania
się wymienionego zadłużenia w latach
następnych. Np. według S. Grutewskiego
za 10 lat zadłużenie to wzrośnie do
kwoty 42-45 mld dolarów. Bardziej
pesymistyczne są prognozy ekspertów
Banku Światowego, według których
zadłużenie w 1995 r. wyniesie aż 60
mld dolarów.

Nie wnikając obecnie w przyczyny
powstania poważnego zadłużenia nie
możemy w historii naszego kraju, w
tym zakresie musi nastąpić zmiana fi-
lozofii w kierunku wyraźnego wzmoc-
nienia polityki eksportowej bez jakich-
kolwiek ograniczeń strukturalnych czy
formalnych i podmiotowych.

— X —

Reforma gospodarcza to proces wy-
jątkowo skomplikowany i długofalowy.
Wymaga dużej odporności i konse-
kwencji działania, wielu wyrzeczeń i
niepopularnych decyzji. Możliwe jest
jej przeprowadzenie tylko przy pełnej
aprobach i zaangażowaniu całego spo-
łeczeństwa, które widząc jasno wyzna-
czony cel i realny harmonogram jego
realizacji może zgodzić się na szereg
wyrzeczeń i dodatkowy wysiłek.

Proces reformowania działalności go-
spodarczej i społeczno-politycznej musi
poprzedzić reforma myślenia. Ta zaś
jak wiadomo nie może zyskać jeszcze
należnego miejsca w naszym systemie
i kulturze politycznej. „*W naturze
człowieka jest siła potęgi oświecenia, ale są
także bieżniary niemożliwości*” — jak
trafnie postrzegala Eliza Orzeszkowa.
Spróbujmy dla przemian stosunków
społecznych i gospodarczych, dla re-
alizacji reformy gospodarczej i popra-
wy naszego bytu wyzwoleć i prawidło-
wo wykorzystać tę potęgę ludzkiej akty-
wności. Gdyby nam się to udało —
moglibyśmy być bardziej spokojni o
przyszłość i rozwój naszej gospodarki.

Taki gruntowny wzrost jest niezbęd-
ny, bowiem inne drogi nie ma. Cof-
nąć się nie możemy i nie mamy dokąd”.
Są to słowa M. Gorbaczowa wypowied-
ziane na ostatnim Plenum KC KPZR
na temat radzieckiej reformy gospodar-
czej. Pasują one w całości do polskich
realiów i godne są naśladowania.

ALEKSANDER KAPUSTKA

W czasie II wojny światowej młodzież polska aktywnie uczestniczyła w walce z okupantem hitlerowskim. Jej udział w ruchu oporu jest bezsporny i podkreślany przy różnych okazjach. Straty wojenne dotknęły najsilniej roczniki młode, aktywne, inteligentne a więc element najbardziej ideowy, patriotyczny, szczególnie narażony na represje okupanta niemieckiego.

Po wojnie młodzież brała udział w tworzeniu naczelnych i terenowych organów władzy państwowej, ludowego Wojska Polskiego, aparatu bezpieczeństwa i milicji. Nie zabrakło jej też w tak ważnych akcjach politycznych, jak: reforma rolna i nacjonalizacja przemysłu, odbudowa kraju i zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, walka z kontrewolucyjnym podziemiem politycznym i zbrojnym.

Część jednak młodzieży otumaniona przez reakcyjną propagandę znalazła się w organizacjach kontrewolucyjnych podziemia politycznego i zbrojnego.

przebieg od działań propagandowych do akcji terrorystyczno-zbrojnych. Na obiekt napadu wybrano referenta PUBP w Nowej Soli, Czesława Czapczyka, którego podstępnie zwabiono do mieszkania Władysława K. w Nowej Soli. Po przybyciu do mieszkania, współnik K. Alojzy P. z zaskoczenia uderzył metalowym prętem w tył głowy Czapczyka, powodując utratę przytomności. Następnie zaczęto go dusić ściskając rękoma za gardło. Po dokonaniu morderstwa sprawcy zabrali pistolet służbowy, zwłoki zwinęli w siennik i schowali pod łóżko. Pod osłoną nocy ciało zamordowanego funkcjonariusza wywieźli na ręcznym wózku i wrzucili do Odry. Rower i dokumenty osobiste Czapczyka porzucili w zaroślach nad rzeką. W dniu 10 czerwca 1946 r. zalogę portu rzeczny w Nowej Soli w miejscowości Pleszewek wydobyła z rzeki zwłoki zamordowanego.

Sprawcy morderstwa niedługo pozostali na wolności. W wyniku podję-

W celu zdobycia broni, zaplanował napad na Posterunek MO w Parochowie, pow. lubiński. Otrzymałszy od współnika informacje, że w posterunku przebywa tylko jeden milicjant, postanowił zamierzony czyn zrealizować. Okazując podrobioną legitymację funkcjonariusza UBP nie wzbudził podejrzeń u milicjanta, który pozwolił mu przebrać się w posterunku. Korzystając z tego, że milicjant zasnął, W. zadał mu sztyltem kilka ciosów w plecy i w okolicę serca, kiedy sztyltem złamał się, odłamkiem ostrza podciął mu gardło. Będąc przekonany, że milicjant nie żyje, zerwał przewody telefoniczne, zabrał mu pistolet, raportówkę, zegarek i rower, a następnie zbiegł do Zakopanego, gdzie usiłował nielegalnie przekroczyć granicę, lecz zamierzonego celu nie osiągnął. Z Zakopanego udał się do Kielc. Tu zgłosił się do prokuratora opowiadając mu zmyśloną historię o napadzie bandy na Państwowy Dom Harcerza w Opolu i zabójstwie J.K., sam zaś przedstawiał się jako ofiara uprowadzenia przez bandę w lasy kieleckie, gdzie przetrzymywany był w bunkrze do czasu, aż udało mu się zbiec.

Zeznaniu temu nie dano wiary i W. przekazano do WUBP we Wrocławiu. Oficerowie śledczy w ogniu krzyżowych pytań wykazali, iż W. kłamie. Wobec przedstawionych niezbitych dowodów winy, podejrzany przyznał się do popełnionych przestępstw i został skazany na karę 15 lat pozbawienia wolności. Podobny los spotkał pozostałych członków antykomunistycznej organizacji.

Jesienią 1947 r. „Wicher” zakłada organizację pod nazwą „Młodzieżowy Ruch Oporu”, która zasięgiem działania obejmowała Śląsk Opolski i część województwa śląsko-dąbrowskiego. W ramach tej organizacji powołano grupę specjalną do wykonywania wyroków śmierci, dokonywania napadów na kasy państwowe, zdobywania broni itp. W listopadzie 1947 r. na ulicy Oleskiej w Opolu dokonano napadu na milicjanta, któremu zrabowano broń. W grudniu tegoż roku „Wicher” wydaje „wyrok” śmierci na przewodniczącego Zarządu Miejskiego ZMW w Opolu Bogusława Tytusa „Wicher” i „Mściciel” uzbrojeni w pistolety TT udają się do mieszkania Tytusa. Zastawiają tylko jego matkę, zawiadamiają wystraszoną kobietę, że jej syn został skazany na karę śmierci i że wyrok zostanie wykonany w ciągu najbliższego tygodnia. Nie został wykonany nigdy, na przyszłość temu stanowił funkcjonalistę bezpieczeństwa publicznego. W lutym 1948 r. funkcjonariusze PUBP w Opolu udaremniłi napad na drukarnię Opolskich Zakładów Graficznych. Pod koniec czerwca 1948 r. członkowie „Młodzieżowego Ruchu Oporu” zostali aresztowani.

Charakter terrorystyczno-rabunkowy miała „Tajna Organizacja AK” założona w maju 1947 r. na terenie Jeleniej Góry. Działalność rabunkową usiłowała osłaniać frazesami politycznymi zaczerpniętymi z programu WiN. Bezkrzytycznie przyjmowano hasła anarchistyczne i antykomunistyczne, zwłaszcza też o obcości marksizmu w Polsce. Młodzie „politykierzy” byli zwolennikami rozwiązań siłowych i próbowali je wcielić w życie, m.in.: z bronią w ręku dokonali napadu na Urząd Gminny w Szczepiowie pow. jeleniogórski: pobili i zabrali broń członkowi ORMO, — Kazimierzowi Swarcowi zamieszkałemu w Podgórzynie. Do realizacji kolejnych napadów nie doszło z powodu aresztowania członków organizacji.

Antykomunistyczne organizacje młodzieżowe na Dolnym Śląsku nie miały scentralizowanego kierownictwa, każda z nich prowadziła samodzielną działalność. Trzeba jednak stwierdzić, że w tamtym okresie siłom reakcyjnym udało się opanować tylko nieliczne grupy młodzieży. Wielu z dawnych „kospiratorów” po latach dowiodło, że błędy młodzieży można naprawić pełną zaangażowaną pracą na rzecz Polski Ludowej.

tych czynności operacyjno-śledczych od tworzono przebieg zdarzenia. Ogieńnicy ciała denata i miejsca popełnienia morderstwa dostarczyli materiał dowodowy dla ekspertyzy kryminalistycznej. Punktem zwrotnym w prowadzonym śledztwie był zapis w notatniku służbowym, z którego wynikało, iż ostatnimi rozmówcami funkcjonariusza byli uczniowie jednej ze szkół w Nowej Soli i wśród nich należało szukać ewentualnych sprawców morderstwa. Finał tej sprawy rozegrał się przed Wojskowym Sądem Rejonowym we Wrocławiu, sprawcy zabójstwa referenta PUBP zostali skazani na karę śmierci, wyroki wykonano.

Podobny charakter miała działalność organizacji „Młodzież Polska” skupiającej w swych szeregach młodzież ze średnich szkół Opola. Kierownictwo tej organizacji w osobach J.K. i I.W. prowadziło tryb życia daleki od wzorów harcerskich. W trakcie jednej z libacji alkoholowych urządzanych w świetlicy harcerskiej doszło do bójki. I.W. młotkiem uderzył kilkanaście razy w głowę J.K. powodując złamanie podstawy czaszki i liczne obrażenia głowy, w wyniku czego K. zmarł. Sprawca, po dokonaniu morderstwa, zabrał aparat fotograficzny i 1500 zł z kasy harcerskiej, po czym zbiegł.

Początkowo ukrywał się u swego ojca zamieszkałego w pow. jaworskim, następnie u znajomej nauczycielki w Porchowej, pow. lubiński. Na terenie powiatu legnickiego i zlotoryjskiego usiłował nakłonić do wstąpienia w szeregi nielegalnej organizacji „Młodzież Polska” swoje koleżanki, z którymi uczęszczał do Liceum Pedagogicznego w Legnicy. Ponieważ chętnych brakowało, chciał pozyskać nauczycielki dla kontrewolucyjnej działalności, obiecywał każdej ożenek. W rezultacie kilka nauczycielek wrogo ustosunkowanych do Polski Ludowej, wstąpiło w szeregi antykomunistycznej organizacji.

Program organizacji bazował na prymitywnym antykomuniźmie, sprowadzał się do złożenia przysięgi na wierność tzw. rządowi londyńskiemu oraz planowaniu napadów terrorystycznych na przedstawicieli władzy ludowej, zwłaszcza funkcjonariuszy bezpieczeństwa i milicji, a także członków PPR.

Maja Maria Roussou

Wgłębienie

Wsluchiwałem się w ciebie
gdym rosł w mnie
jak światło.
A moje ciało
piękne i tajemne,
kadzielnica lub woszczyna
twoja tylko:
draż ją
i napelniaj.

Tłumaczył
Nikos Chadzinikolau

Giorgos Petropoulos

Z Moniką

Fewnej nocy z Moniką, na obcym łóżku
bez żadnego uczucia, położyliśmy się nagle
prawie z dziką radością, by ukryte pragnienie
ciał zachłannie ugasić.

W oczach utrwaliła się przestrzeń nieskończoności,
burzyła się krew w naszych żyłach
jak chwila zatrzymana na brzegu snu —
ciężki jej oddech odbijał się o moją twarz.

Tłumaczył
Nikos Chadzinikolau

ciąg dalszy ze str. 1

nie piękne, jakby utrwalone w technicolorze. Doświadczyłem podobnych uczuć. Rzeczywistość, choć odbierana przeze mnie po spartańsku — np. w nocy spałem pod gołym niebem, w towarzystwie cykad i porykujących w oliwnych gajach osłów, ta rzeczywistość okazała się wspanialsza od moich najśmielszych marzeń.

Do kraju Mieczysław Wojecki wrócił ośniony i swej greckiej miłości postanowił nie zdradzić. Po kilku latach zbierania materiałów, pisanie, obronę u profesora Wąsickiego pracę doktorską „Uchodźcy greccy w Polsce w latach 1949-1975”, zarazem pierwszą monografię poświęconą temu problemowi. A w międzyczasie — w połowie 1981 roku — dwie grupy inicjujące z Zielonej Góry i Lubuska (34 osoby) po-

kania przez Grecję niepodległości oraz — ogólnopolskie już — Dni Kultury Greckiej w Polsce, organizowane jesienią tego roku w Szczecinie.

Dla wielu motywem wstąpienia do Towarzystwa była jedynie łatwość wyjazdu na specjalnie zorganizowaną wycieczkę do Grecji. Obok niefałszywanych turystów trafiają się „handlowcy”, z ogromnymi ilościami bagażu, oczywiście nie do własnego użytku. Na jednej z ostatnich wycieczek dwóch „takich” miało razem 60 sztuk bagażu wypełnionego wszelakim dobrem. Cóż, nawet niezbyt droga Grecja okazuje się dla wielu rodaków zbyt drogą. Z drugiej strony, dla uniknięcia przykrych niespodzianek na przejściach granicznych i urzędach celnych, konieczna jest pewna selekcja uczestników wyjazdu i — jednocześnie — doskonalenie organizacyjne wycieczek. Tej ostatniej potrzebie ma służyć m.in. istniejący przy łódzkim oddziale TPP-G Bank Informacji Turystycznej, dysponujący ponoć świetnymi materiałami, nawet z

Uczymy się Grecji

łączyli się w jeden Komitet Założycielski Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej. Po trudnych początkach — nastąpiła syta — Zarząd Główny Towarzystwa ma swoją siedzibę w Zielonej Górze przy ulicy Świerczewskiego. Gościnne podwoje otwiera Józef Głodek, emerytowany nauczyciel, entuzjasta całego ruchu, z dumą pokazujący gromadzoną biblioteczkę greckanów.

Burliwy II Krajowy Zjazd TPP-G wybrał doktora Mieczysława Wojeckiego na prezesa swego Zarządu w nowej kadencji, który nominację przyjął z mieszanymi — jak przysłaje — początkowo uczuciami:

— Tego dnia czułem się fatalnie. Chciałem, by kto inny objął tę funkcję. Stało się inaczej: Dotąd w nowej roli czułem się skrepowany, głównie z powodu braku czasu. Pracę w Towarzystwie pogodzić muszę z innymi obowiązkami, nauczaniem geografii, społecznym działaniem w PTTK, w SAP-ie, Lubuskim Towarzystwie Kultury i... Kolegium ds. Wykroczeń.

Prezes traktuje swą funkcję, zaszczyt na przeciętę, rzekłabym — roboczo. Sprawdza ją do „koordynowania całokształtu działalności Towarzystwa, wysyłania pewnych impulsów twórczych, wskazywania dróg realizacji obranych celów”. Jak wygląda to w praktyce? Istotną sprawą było obranie zastępców, sprawdzonych organizatorów, sympatyków Grecji, Alfreda Chwastyka z Zielonej Góry, Kazimierza Furmaniaka z Łodzi, Andrzeja Sendrakowskiego z Krakowa, zarazem przedstawiciele najprężniejszych oddziałów wojewódzkich TPP-G. Nowy prezes chce utrzymać i kontynuować te formy pracy, które już się sprawdziły. Przede wszystkim centralne obchody, obecnie w Warszawie, przypadające 25 marca rocznicy uzys-

adresami „polskich” sklepów w Atenach czy Salonikach, sklepów handlujących futrami, skórami, konfekcją.

Zważywszy, że szereg Towarzystwa powiększają się i coraz więcej osób interesuje się grecką sztuką, literaturą, polityką, językiem wreszcie — palący okazuje się problem stworzenia czegoś w rodzaju Klubu Prelegentów, osób kompetentnych i chętnych do dzielenia się swą wiedzą. Jeśli chodzi o praktyczną naukę języka nowogreckiego — w dobrej sytuacji są członkowie oddziałów w Łodzi, Warszawie i Krakowie, od dłuższego czasu uczących się pod fachowym okiem (i uchem) filologów miejscowych uczelni. Prawdopodobnie — w niedługim czasie i w Zielonej Górze Christos Andoniadis rozpocznie językowe zajęcia z grupą chętnych.

W zwyczajny, powszedni dzień pracy Towarzystwa prezes wpisuje próbę nawiązania kontaktów z Towarzystwem Grecja-Polska, działalność wśród młodzieży, werbowanie nowych członków, współpracę z ogniwami PRON-u, organizowanie wystaw, recitali pieśni greckich, wieczory poezji.

Niecierpliwy, pełen różnorodnych pasji dr Mieczysław Wojecki, często i z westchnieniem przywołuje postać Odyseusza: — „Ten to mógł swobodnie podróżować i zwiedzać tyle wysp”, ale nie chce... udawać Greka. Zyczeń też ma niewiele: zdrowia, by sił starczyło na społeczne obowiązki i zrealizowanie wszystkich planów Towarzystwa, aby złożona w Jeleniej Górze wersja pracy doktorskiej ukazała się wreszcie drukiem, i żeby — po spłaceniu rat za ostatnio kupione nowe meble — znów pojechać do ukochanej Grecji. Razem z rodziną.

MAŁGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA



TAK DUŻO NADZIEI

Fabryka Mebli. Następnie zamieszkała w Gorzowie, gdzie intensywnie zaczęła uprawiać twórczość literacką. Choć debiutowała jeszcze w okresie międzywojennym, to do piero lata spędzone w Gorzowie zaowocowały tomami prozy i poezji. Jej powtórnym debiutem były utwory, opublikowane w „Nadodrze”.

Irena Dowgielewicz zadebiutowała w 1962 roku tomem opowiadań pt. „Lepszy obiad”, następnie wydała kolejne zbiory prozy: „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu” (1965), „Krajobraz z topolą” (1966) oraz „Most” (1968). Na jej dorobek poetycki składają się tomiki wierszy: „Sianie pietruszki” (1963), „Stadion dla biedronki” (1970), „Tutaj mieszkam” (1973) oraz „Wiersze wybrane” (1977). Jej utwory pomieszczono w licznych antologiach literackich, zostały też przełożone m.in. na języki niemiecki, rumuński i słowacki.

Pisarka od 1962 roku była członkinią oddziału zielonogórskiego Związku Literatów Polskich. W 1971 r. otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Była też laureatką Lubuskiej Nagrody Kulturalnej, Nagród Gorzowskich (wojewódzkiej i miejskiej) oraz Nagrody naszego pisma. Była odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pozostawiła po sobie książki, które na trwałe weszły do kanonu polskiej literatury współczesnej.

Któregoś wiosennego dnia 1963 roku przeczytałem „Lepszy obiad” — pierwszy zbiór opowiadań Ireny Dowgielewicz, a kilka miesięcy później — „Sianie pietruszki”. Wiersze jakby trochę starszowiejskie w swej formie, a przecież trafiające do serca i wyobraźni wrażliwego odbiorcy. Zrozumiałem, że te utwory — poza walorami czysto artystycznymi — są bardzo komunikatywne, a więc — radiowe.

Później nieraz byłem gościem państwa Dowgielewiczów, w ich gorzowskim mieszkaniu, w domu strzeżonym przez topole. Zdarzyło się, że po wydaniu przez pisarkę nowej książki, siedząc w głębokim fotelu, poczęstowany przez męża pani Ireny herbatą w ozdobnej filiżance, uruchamiałem mikrofon, który zawsze trochę ją peszył. Pamiętam wysoką postać pisarki, jej nieco przygarbione plecy i duże oczy, które spoglądały trochę niespokojnie na moje notatki.

Pisarka zawsze zdecydowanie wypowiadała swoje poglądy na temat własnej twórczości, interesującą mówiła o zwykłych, codziennych sprawach, które przetworzone literacko, trafiały nieraz do książek. Potrafiła energicznie bronić swojej prozy w maszynopisie przed cenzorskimi zapędami redaktorów wydawnictwa, a także się zdarzały, nie zgadzając się czasem na drobne nawet skreślenia w tekście.

Prawie wszystkie prozatorskie utwory Ireny Dowgielewicz, a przynajmniej ob szersze ich fragmenty (nie mówiąc o licznych wierszach), były publikowane na antenie zielonogórskiej Rozgłośni Polskiego Radia, a także — w centralnym programie radiowym. Oprócz fragmentów książek „Most” czy „Krajobraz z topolą” nadano także opowia-

dania, jak: „Radość człowiecza”, „Wszystko są zakochani” czy „Dobry wujaszek-sneć”. Na antenie było też mnóstwo dla jej wierszy i — co jest mało znane — słuchowisk. Jej utwory interpretowali aktorzy zielonogórskiego Teatru, nadając im właściwy radiowy wyraz. Pamiętam znakomite kreacje Danuty Ambroz, Hlary Grzonki, Zdzisława Grudnia, Hilarego Kurpanika, Jerzego Glapy...

Bardziej wszakże ufała słowu drukowanemu, do czego zresztą sama się przyznawała. A jednak udało mi się zainteresować autorkę wielce cenionego już wówczas „Mostu” twórczością słuchowiskową. W jednym z listów pisała: „Drogi panie Romualdzie. Przesyłam oto egzemplarz słuchowiska, o którym rozmawialiśmy u mnie, w domu. Byłoby bardzo wdzięczna za kilka słów krytycznej opinii, bo ten rodzaj twórczości jest dla mnie czymś nowym i dosyć niepewnie w nim się czuję”. Początkowo sam dokonałem adaptacji jednego z jej opowiadań, potem wspólnie opracowaliśmy radiowe dialogi słuchowisk. W czasie, gdy mocno nekowała już ją choroba i coraz rzadziej opuszczała łóżko, napisała słuchowisko pt. „Tak dużo nadziei”, wyreżyserowane później przez Zygmunta Galka.

Czym była dla Ireny Dowgielewicz twórczość literacka? Po wydaniu kilku książek, pisarka wyznała w radiowej rozmowie: „— Ja swoje pisarstwo traktuję jako bardzo ciężką i odpowiedzialną pracę. Prawdę mówiąc, nad nieczym w życiu się tak nie napoczęłam, jak pojęcie nad pisaniem. Uważam, że to, co powielane jest w dużej ilości egzemplarzy, co dociera do ludzi, powinno być bardzo sumienne i odpowiedzialnie opracowane. Nie tylko

pod względem treści, ale także formy. Zresztą, ja piszę bardzo wolno, kilka razy magluję tekst...”

Zapytałem wówczas, czy ma swój ulubiony temat? Odpowiedziała: „— Jest nim najogólniej mówiąc — człowiek, a precyzyjnie, zawsze odwołuję się do tego, co jest chyba dla człowieka jedną z jego najbardziej istotnych spraw: do rodziny, do wzajemnych stosunków ludzi w kręgu rodzinnym... To mnie najbardziej pasjonuje. Wydaje mi się, że konflikty, niezależnie od tego, w jakim środowisku się dzieją, w gruncie rzeczy są do siebie podobne. Małe, ale bardzo dokładne zwierciadło”.

Jest pewne, że w kręgu najbliższych zainteresowań pisarki zawsze znajdowała się rodzina. Irena Dowgielewicz tęskniła często do ciepła dobrej, rozu- mianej się rodziny i sama oddarzała tym ciepłem swoich kolejnych wychowanków, dzieci osierocone lub porzucone, które w gorzowskim domu mówiły jej: Mamo. Nawet w słuchowisku „Tak dużo nadziei”, emitowanym w sierpniu 1981 roku, opowiadającym o próbie adopcji dwóch chłopców przez bezdzietne małżeństwo, wraca motyw rodziny i matki. Była to jej ostatnia audycja na zielonogórskiej antenie.

Swego czasu zastanawiałem się, czy pisarka zostanie wierna dotychczasowej tematyce, czy zwiąże swe losy na stałe z Gorzowem, z najbliższym otoczeniem, prowincją bliską jej sercu, skoro nawet wyszukie topole trafiły do jej książek.

Dzisiaj już wiem, że pozostała do końca swoich dni wierną podejmowanym wcześniej tematowi, najbliższemu środowisku i miastu... Pozostała w swoich mądrych i wzruszających książkach, w pamięci i sercach czytelników, znających i przyjaciół.

ROMUALD SZURA

Nie ma w przemijaniu goryczy

Irenę Dowgielewicz znałem przede wszystkim poprzez jej twórczość. Tylko raz miałem możność rozmawiać z nią w jej domu. I to spotkanie głębiej pozwoliło mi wejść w jej postawę twórczą. Wiadomo, że przez ostatnie kilka lat Dowgielewicz pisarsko milczała. A o czym w takich sytuacjach myśli pisarz? Czyż nie o wielkości swego dzieła, czy nie trapi go lek z powodu poczuwanej znikomości wypowiedzianego słowa? Myśli o tym, co dokonał. Zastanawia się, czy nie zmarnował życia. To myślenie nie bardzo często „wytrąca mu pióro z ręki”. I tym więcej własna praca zaczyna wydawać się „szyfrowym zajęciem”.

Właśnie w tym „jałowym” czasie Irena Dowgielewicz ujawniła swą duchową wielkość. Paradoksalnie. Jej stosunek do własnego dzieła właśnie, w tym najtrudniejszym momencie, nacechowany był czymś więcej niż obłojunością na tego typu prestiżowe problemy. Zachowa-

wała stoicki stosunek do wszystkich zmienności osobistego i pisarskiego losu. Potrafiła od siebie skutecznie oddalić, trapiące chyba każdego artystę, niepokoje, rozterki, pragnienia sławy itp. Jakby uważała samo życie, jego bieg, przyjmowanie jego wszystkich przejawów za coś istotniejszego, co uwalnia człowieka od dążeń do namiastek, od pragnienia „sukcesu”. Ta wola pełnienia życia, a nie roztrząsanie problemu literatury do niebotycznych wymiarów, uchroniła Dowgielewicz przed wieloma truciznami psychicznymi, jakie mogłyby stać w niej pokorą i skromnością wobec własnego dzieła jest tu warta podkreślenia. Była Dowgielewicz wolna od pragnień uznania, splendoru i poklasku. Nie zabiegała o tego typu błahości, co już nie jednego artystę niszczyło. Mówiła mi o tych sprawach żartobliwie. Można by rzec, że doświadczenie życia narzucało jej takie spojrzenie. Bylibyśmy w bie-

dzie. Przecież te cechy zostały właśnie wpisane w jej utwory już dużo wcześniej. Nie ma więc żadnego rozdźwięku. Podkreślam ową piękną zgodę (coraz rzadszą) na życie, ową miłość życia, zaparczenie się w szczegól i konkret, bowiem dzisiaj literaci jakby coraz mniej umieli we współczesnym życiu tkwić, obserwować je i opisywać. Dowgielewicz była wytrawną obserwatką. Miałem możność o tym się przekonać. Zdania pisarza powinny wynikać z jego prawdy wewnętrznej, powinny być wolne od pozorów, od czczej epatacji, od nieprawdy podobieństwa. Zdania Dowgielewicz właśnie są od tych cech wolne. Dowgielewicz nie wymyślała swoich utworów. Ona w nich znajdowała własne życie. We wszystkich tym, tak więc i w owym milczeniu, jest jakaś tajemnica, jakaś niezłobiona mądrość, której źródła w pełni nie znamy. Myślę jednak, że wyjaśnienie niesie z jednej strony fakt, iż Dowgielewicz uzyskała w młodości wykształcenie klasyczne. Znała literaturę łacińską, a z drugiej — to klimat domu rodzinnego, o którym umiała tak pięknie opowiadać, wspominając jego ciepło, bezpieczeństwo, miłość.

Ciężka i postępująca choroba unięruchoimiła ją w łóżku. Poruszała się tylko w zasięgu własnego domu. Nie pojawiała się nigdzie, ani po odbiór nagród, ani dla przyjęcia odznaczeń. Jakby wszyst-

ko stało się nieistotne, pozorne, a miała tę pewność, bo skoro dawne uniesienia, namiastki, czy pasje pisarskie minęły, to minie i wszystko następne. A spotkała Irenę Dowgielewicz wiele nagród, wiele uznania, wreszcie, napisano o jej twórczości sporo artykułów.

Choć twórczość prozatorska w jej dorobku jest zapewne najważniejsza, to uważam, iż kluczem do jej osobowości pozostanie jednak poezja. Właśnie te kilkadziesiąt wierszy. Jest to poezja niezwykle konkretna, wrażliwa na szczegóły, na jakies brzoście czy pyłek dookólnego świata. Dowgielewicz w zasadzie nie wychodzi poza krąg domowych, uczuciowych realiów. Jest za wsze blisko siebie. Nigdy nie abstrahuje. Chodzi o zapis tego, co się zdarza w szarej, niewznieśliwej rzeczywistości. Kleksa i ból nie przyczyniają się tu do upadku duchowego. Taki jest właśnie bohater liryczny nie tylko wierszy, ale też jej prozy. To zresztą najczęściej frapowały krytyków piszących o Dowgielewicz. Powie w jednym z wierszy, jakby przezuwając przyszły los: „Dlaczego właśnie nie miałabym cierpieć”. Powie tak właśnie w zgodzie, do której doszła poprzez ból, ale i poprzez zachłaniecie się wieloma urokami świata, wiedząc doskonale: „Jakie gorące usta miewają czerwocze sierpień / jak można płynąć w zmierzchu na kształt

wielkiej ryby / jak przepływał pod nami nasz pies jurodlowy, / jak słowa pachną blade, ale każde jest znakiem / lilowym jak maciejka, zamkniętym jak portulaka”. To właśnie przemija. A Dowgielewicz upewnia się również, iż „Nie ma w przemijaniu goryczy”. Czy może dlatego, że nagle przezuła tę najwyższą perspektywę, do której widzenia dochodzi się niekiedy mozolnie? Może właśnie wiersz „Teologia” objawił jej duchowe centrum, cyt.: „Jest Bóg roślin: mleczów i jemiół, / który patrzy i z uśmiechem schyla głowę”.

Był upalny dzień lipca. Zar lał się z nieba. Na stoliku obok łóżka Dowgielewicz stało jakieś radio, szklanka, leżały tabletki i papiery. Pokój był ciemny. Przy otwartym oknie furkotał sennie wentylator. Przy okragłym stole piłem mocną herbatę, którą poczęstował mnie Grzesiu wychowanek pani Ireny. Zdziwiła mnie Dowgielewicz żywym sposobem opowiadania. Próbowalem, zafascynowany rozmową, na gorąco przeprowadzić wywiad. Nie miałem magnefonu. Nie zdążyłem z zapisywaniem jej wypowiedzi i opowieści. W końcu skapitulowałem. Obiecałem sobie, uzyskawszy szersze przyzwolenie Dowgielewicz, że przyjdzie kiedyś jeszcze raz. Okazało się po kilku miesiącach, że tego go wywiadu już nigdy nie dokonczę.

CZESŁAW SOBKOWIAK

... OCEAN W PUDEŁKU OD ZAPALEK

„To, co stanowi o niepowtarzalności tej prozy, to przede wszystkim konstrukcja narratorki zarysowana głównie w „Radości człowieczej”, w „Przyjadę do ciebie...”. Narratorka jest fizycznie młoda, prawie jeszcze dziewczęca, ale duchowo w pełni dojrzała kobieta, wyłączone z kręgu wielkich dążeń i namietności (...). Inni konspirują, szaleją z miłości, dokonują bohaterów czynów — ona gotuje zupę albo smaży kotlet. Są tacy, którzy czują się odpowiedzialni za losy ojczyzny, ludzkości, idei — ona jest skazana na odpowiedzialność za żołądek i tragicznych kochanków i bohaterów (...).

Tomasz Burek, „Tygodnik Kulturalny” 1965/39.

„W miarę jak czytam tę upiorną — chyba bardzo dobrą książkę, „Lepszy obiad” — nasz przyp. byłem coraz bardziej ciekawa, kim jest ta autorka, która ma w oczach — i w sercu — obraz tak strasznego, okrutnego, cynicznego, z wszelkich ludzkich odruchów wypranego świata (...).

Oczywiście, jak zwykle w tomiku opowiadań, nie wszystkie są równe. Najlepsze wydały mi się te, które mają w sobie jakiś „węzeł dramatyczny” (...).

Sposób pisania przypominałby naturalizm, gdyby się nie czuło, że nie chodzi tu jedynie o „opisywactwo”, o podawanie „szczegółów”, ale że ta odrażli-

ca brzydota i złość ludzka, na które stale patrzymy, płyną z bardzo głębokiej i do białości rozżarzonej pasji autorki”.

Zofia Starowiejska-Morstinowa, „Tygodnik Powszechny” 1963/47

„O krok od banału”.

Zbigniew Pędziński, „Współczesność” 1963/18

„Sianie pietruszki” to bardzo świeże zjawisko (...). Nie nowatorstwem formalnym, gdyż I. Dowgielewiczowa była nawet starszowiejską, ale autentycznością doświadczenia. Jest w jej wierszach jeśli nie sól, to gorycz mądrości. Pojawili się u nas nowy typ poezji kobiecej wywodzącej się od — tak bym to nazwał — Penelopy. Poezja cierpliwości (...).

Zbigniew Bienkowski, „Nadodrze” 1963/10

„Język tej prozy posiada autonomiczną wartość artystyczną. Wybrane fragmenty i opisy, dialogi, poszczególnie określenia, ba — tak liczne u Dowgielewiczowej metafory i porównania — można odczytywać osobno, dla nich samych, ich oryginalnej piękności, niezależnie od funkcji, jaką pełnią wobec charakterystyki postaci i środowiska, akcji fabuły itp. elementów tradycji składających się na tzw. prozę fabularną (...).

„(...) całą uwagę skupiam na prze-

ciudnych „detalach” tej prozy, na niezwykle cennych metaforach i porównaniach, epitetach, zestawieniach słownych, którymi można by obdzielić kilkanaście tomików współczesnych młodych poetów i jeszcze — wierzę — autorów „Lepszego obiadu” nie zabrakłoby wyobraźni, której zasoby ma naprawdę niewyczerpane (...).

Dowgielewiczowa wykorzystwała chyba po raz pierwszy na taką skalę — artystyczne możliwości w tych prostych faktach, iż człowiek na co dzień śpi, myśli się, je (...).

(...) wyrazić to, co rozległe, wzniosłe i nieuchwytnie przez to, co arcywymierne, przyziemne, konkretne. (...) Zamknąć ocean w pudełku od zapalek”.

Stefan Melkowski, „Nadodrze” 1965/13.

Cieniutki tomik opowiadań Ireny Dowgielewicz, „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu”, to prawie mutacja debiutu, równie niktęgo tomiku „Lepszy obiad”, który ukazał się w roku 1962 i przeszedł prawie bez echa. (...) Wyznam otwarcie: Pisarstwo Ireny Dowgielewicz ma u mnie kredyt życiowy i zainteresowanego oczekiwania dzięki drukowanemu w „Twórczości” tytułowemu opowiadaniu obecnego zbioru (...).

Opowiadania Dowgielewiczowej to zapiski z notatnika kinstycznej obserwacji, dokument widzialności wyostrożonej, cielennej, łączącej, gnanej, zdawałoby się, potrzebą utrwalenia wszystkiego, nawet rzeczy zupełnie zbędnych.”

Hanna Kirchner, „Współczesność” 1966/5

„Te historię (chodzi o „Krajobraz z topolą” — przyp. red.) opowiedziała autorka w sposób prosty, bezpretensjonalny, ujmujący. To prawda, że powieść jej nie operu — jakimś bardziej rozwiniętym epickim obrazem, że rysunek postaci drugoplanowych nie jest może dopracowany, że autorka nie pa- nuje może jeszcze w pełni nad zawiłymi arkanami powieściowej — z uspo-

sobienia i dotychczasowego doświadczenia twórczego jest nowelista, jej powieść przypomina rozbudowane opowiadanie (...).

Urok i szczególny, intymny, chciałoby się powiedzieć, wdzięk jej stylu, subtelność portretu psychologicznego głównej bohaterki, autentyczne poczucie humoru, ożywiającej to narrację i przydające jej finezji — czynią powieść Ireny Dowgielewiczowej lekturą przyjemną, wciągającą i ze względu na wpisane w nią treści — nieblachą.”

Wacław Sadkowski, „Nowe książki” 1966/14

„Zwracając uwagę w opowiadaniach czułość i chłonność wyobraźni pisarki na sprawy małe naszego świata, na refleksy tych „praw w historii naszego czasu i odwrotnie — na refleksy historii w ludzkim życiu małym zadecydowało o kształcie powieści „Krajobraz z topolą” (...).

Przy całym szacunku dla licznych wartości i uroków „Krajobrazu z topolą” nie sposób przeczyć zmanifestować żalu, że nie otrzymaliśmy epickiej powieści, która skupiałaby uwagę czytelnika wokół dwóch ważnych kręgów te matycznych, jakich istnienie Dowgielewicz dostrzega i jakie — wewnętrzna mechanika doskonale rozumie; myślę o problematyce zachodniej i o problematyce pracy.

Witold Nawrocki, „Życie Literackie” 1966/42

„Podzielać satysfakcję Nawrockiego i jego optymizmu co do dalszych możliwości pisarskich Ireny Dowgielewicz. Mam tylko wątpliwość, czy „Krajobraz z topolą” jest istotnie książką o Ziemiach Zachodnich przede wszystkim. Dałbym tej książce np. taki tytuł: „Uroda chybionej miłości” i krajobraz miasteczka na zachodzie „pozostałby rzeczywistie tylko krajobrazem, czyli tłem, ową linią horyzontalną, bez której człowiek, jego wzloty i upadki, je

go poświęcenie i jego walka wyglądają mniej barwne, co nie znaczy, że mniej autentycznie”.

Bogusław Kogut, „Życie Literackie” 1966/51

„Pisarstwo Ireny Dowgielewicz zwróciło na siebie uwagę w sposób literacko autonomiczny (...). Nie potrzeba było żadnych ubocznych względów, żeby je dostrzec i potraktować poważnie (...).

Autorka „Krajobrazu z topolą” widzi naprawdę rzeczy, sytuacje, całą fizyczność drugiego człowieka — to widzi tak dobrze i przenikliwie, że czulibyśmy się nieswoi, gdybyśmy byli przez nią obserwowani.

Jedno jest pewne i potwierdza to także „Krajobraz z topolą”, że jej możliwości pisarskie są różnorodne i bogate”.

Henryk Bereza, „Nadodrze” 1966/18

„Tytułowe opowiadanie „Most” Ireny Dowgielewicz należy moim zdaniem zaliczyć do bardziej wstrząsających utworów o tematyce okupacyjnej ostatnich lat (...).

W opowiadaniach tych (z tomu „Most” — przyp. red.) dominuje ton afirmacji heroicznego działania i współczucia dla ludzkiego cierpienia. Z drugiej strony, od czasu do czasu, na prawach swobodnego kontrpunktu, dochodzi do głosu, jak u wytrawnego epika — celna ironia”.

Jerzy Z. Maciejewski, „Miesięcznik Literacki” 1969/7

„Zgodnie z dewizą wyrażaną w noweli „Przyjadę do ciebie na pięknym koniu” („Cierpienie też jest miłością życia”), nieszczęśliwe obroty losów poszczególnych postaci nowel Dowgielewiczowej służą przecież nieprzerwanie pochwalne trudnego, bo trudnego i w pełni ujętą, ale przecież życia”.

Feliks Fornalczyk, „Nadodrze” 1969/3.

Kiedy zakończą się uroczystości i ceremonie ślubne (po osiągnięciu dojrzałości piciowych), dopiero dziesiątej nocy mąż zostaje sam na sam z żoną; zwraca się do niej miłymi słowami, przyciąga ją do siebie i przyciska delikatnie do piersi, początkowo w taki sposób, jaki najbardziej dziewczynki się podobają i za każdym razem tylko na chwilę.

Potem przystępuje do pieszczot i zaczyna od górnej części ciała, ponieważ jest to najłatwiejsze i najprostsze.

Jeżeli dziewczyna jest bojaźliwa i całkiem nieświadoma i jeżeli się z nią jeszcze nie spoufalił, niech próbuje pierwszych pieszczot w ciemności. Jeżeli się nie opiera, niech włoży jej do ust bambulę (nasionka i liść betelu); niech użyje całej swej wymowy, by zechciała ją przyjąć; w razie potrzeby niech ukłęknie przed nią, wiadomo przecież, że kobieta, choćby najbardziej nieśmiała czy rozgniewana nie odrzuci nigdy mężczyzny, który kłęczy u jej stóp.

Częstując ją bambulą, niech całuje łagodnie i delikatnie jej usta. Później niech skłoni ją do pogawędki, pytając o rzeczy, których, jak powiada, nie zna, a które ona będzie mogła wytłumaczyć w kilku słowach. Jeżeli nie odpowiada, niech jej nie przynagla, tylko łagodnie powtórzy pytania i nalega na odpowiedź, głaszcząc ją przy tym, gdyż, mówi Ghotakamukha, „dziewczyny słuchają z uwagą mężczyzn, choć same nie mówią ani słowa”.

Dzięki usilnym prośbom uzyska jej odpowiedź, choćby przez skinięcie głowy. Kiedy ją zapyta, czy go kocha, czy go pragnie, ona niech przez dłuższy czas zachowa milczenie; potem pod wpływem nalegań niech w końcu skinie potakująco głową.

Przyjaciółka, obecna przy tym stosownie do okoliczności, będzie mogła odpowiedzieć za nią, a nawet pozwoli sobie powiedzieć więcej niżby ona chciała, za co dziewczyna zgani ją uśmiechem, rzucając jednocześnie w stronę męża porozumiewawcze spojrzenie.

Jeżeli dziewczynę łączy z mężem zażyłość, niech zwróci mu na szyję, skłaniając się do jego życzenia, wieniec z kwiatów; on zaś niech skorzysta z tej chwili, by doknąć jej piersi i pieszczoty jej palcami. Jeżeli ona go powstrzyma, powie jej: Nie będę już więcej tego robić, pod warunkiem, że weźmiesz mnie w objęcia.

Kiedy znajdzie się w objęciach, niech dotyka jej szyi i ramion. Od czasu do czasu niech sadza ją na kolanach, przyciska do piersi i stara się uyskać jej zgodę na zespolenie. Jeżeli nie chce ulec, niech zagrozi, że zrobi jej i sobie znaki paznokciami i zębami na ramionach i piersiach i że rozpowie następnie, iż ona mu nie uczyniła.

Przez dwie następne noce, kiedy dziewczyna na bierze zaufania i pozwoli na więcej, niech pięci rękami całe jej ciało i pokrywa pocałunkami, niech położy ręce na udach i lekko ich dotyka palcami. Od tego niech przejdzie do pachwin, a jeżeli ona odrzuci jego ręce, powie: Co w tym złego? i skłoni ją, by się mu nie opierała.

Zyskawszy przychylną, niech dotyka narządów piciowych, rozwija pasek i węzeł, które pod trzymają spodnie odzienie i niech masuje górne partie obnażonych ud. Wszystko to niech się odbywa pod różnymi pozorami, lecz bez samego zespolenia. Później niech pociągnie ją o sześćdziesiąciu czterech zasadach Kamy, wyjawiając jej całą swą miłość i wszystko, czego się od niej spodziewa. Niech przyrzeknie jej wierność na zawsze i zapewni ją, że nie będzie miała rywalki.

W końcu po przewyciężeniu jej nieśmiałości, dokona zespolenia i posiadzie ją, nie budząc w niej lęku.

Postępując w ten sposób i uwzględniając skłonności dziewczyny, mężczyzna zdobędzie jej miłość i zaufanie.

Nie osiągnie się natomiast celu ani przez nadmierną uległość, ani też przez brutalny gwałt zadawany woli kobiecie. To pruderijna pomyłka, kiedy nie rozumiejąc serca kobiety, mężczyzna liczy się zbytnio z jej odmową; z drugiej strony jednak dziewczyna wzięta gwałtem zniechęci tego, któremu zabrakło wobec niej delikatności.

Rady Owidiusza, ARS AMATORIA: Również trzy pomagają: za pomocą też poruszysz kamień. Jeżeli potrafisz, postaraj się, by zobaczyła twoje policzki mokre od łez! Jeżeli zabraknie też (nie zawsze bowiem dadzą się wycisnąć na poczekaniu) potrząśnij czy wilgotną ręką.

Kto rozsądny nie połączy pocałunków z miłymi słowami? I choćby nie chciała dać, bierz całusy siłą! Początkowo być może będzie się opierać i powie: „bezczelny”; stawiając opór, chce jednak, by ją pokonało.

Uważaj, by nie zranic delikatnych ust gwałtownymi pocałunkami, żeby nie musiała się skarżyć, iż były one nieprzyjemne! Jeżeli ktoś biorąc pocałunki, nie weźmie reszty, ten godzin jest tego, by stracił również to, co zdobył. Ileż brakuje, by po pocałunkach przejść do pełnego spełnienia?

reguły gry

P. E. Lamairesse

Ejże! byłoby to wielkie prostactwo, a nie poczucie przyzwoitości!

Wypada, byś się uciekł do użycia siły, przemoc miła jest dziewczynie: często chcą dać wbrew woli to, co im sprawia przyjemność. Ta, co stanie się nagle łupem Wenerę cieszy się z natarczywością i uważa ją za miły podarunek. Toteż każda, którą można było zmusić do uległości, jeżeli li odejdzie niepokorną, będzie smutna, chociaż twarz jej będzie udawać radość.

Jak niedługo wystąpi się zacząć pierwszą, tak miło jej znosić, kiedy zacznie kto inny. Ach! nadmierne ufa sobie urodzić młodzieńca, który czeka, aż go ona pierwsza poprosi. Mężczyzna powinien pierwszy się zbliżyć, pierwszy wypowiedzieć łagodne słowa: ona chętnie wysłucha miłych słów.

Proś, abyś posiadał: ona pragnie tylko tego, by ją prosił; opowiedz jej, dlaczego i jak narodziła się twoja miłość. Nawet Jowisz przychodził do dawnych heroiń jako białynik: żądna dziewczyna nie wiodła pierwsza Jowisza.

Jeżeli jednak zauważysz, że pod wpływem prośb popada w nadmierną dumę, odstąp od zamiaru i wycofaj się! Wiele kobiet pożałuje tego, co im się wymyka i nie lubi, by im się narzucało: mniej nalegając, oddasz jej niechęć do ciebie.

Nie zawsze należy ufać miłości dziewczyny: swoje nadzieje na miłość: niech miłość ją przebiegnie pod płaszczykiem przyjaźni. Widziałem jak w ten sposób oszukano najnieprzyjemniejszą dziewczynę: ten, co był przyjaźniem, stał się kochankiem.

Rady doktora J. Guyot. Najlepszym stanem małżeństwa jest wzajemna miłość. Jeżeli brak jej u kobiety, mężczyzna powinien ją rozniecić sztuką swych pieszczot.

Kobieta pierwszej młodości jest zawsze mniej namiętna i bardziej delikatna; objawy niechęci biorą się najczęściej stąd, że przeżyła jej są niepełne.

Miesiąc miodowy jest czasem upojenia danym małżonkom przez naturę po to, by się mogli po-

Sceny miłosne w literaturze pięknej

rozumieć w sprawie naturalnego i pełnego zaspokożenia popędu seksualnego.

Rozkosz ma to do siebie, że wypływa u każdego z małżonków głównie z upojenia, którego doświadcza partner. Regularne i naturalne współżycie piciowe, jeżeli nada się mu odpowiedni kierunek, stanie się istotną potrzebą dla utrzymania jasności umysłu, spokoju serca i zdrowia ciała.

UWIEDZENIE DZIEWCZYNY W CELU ZAWARCIA ZWIĄZKU MAŁŻEŃSKIEGO

(...) Kiedy młody człowiek upatrywa sobie dziewczynę lub się w niej zakocha, niech zawsze na wszelkie możliwe sposoby stara się jej przypodobać.

Kiedy spostrzeże, że ona go kocha, niech zabie-

stale nosi wszystkie przedmioty otrzymane od niego w prezencie, okazuje rozpacz, kiedy rodzice mówią o innym konkurencie i gniewa się na każdego, kto popiera rywala.

A oto kilka wersetów na ten temat.

„Kto poznał po objawach zewnętrznych uczucie, które dziewczyna żywi do niego, powinien zrobić wszystko, co należy, by się z nią połączyć. Dziewczynę całkiem młodą niech pozyska dziecięcymi zabawkami, dużą panną – swymi aleniami (w dziedzinie Kamy oczywiście), a osobą dorosłą, która go kocha, przy pomocy pośredników, mających u niej zaufanie”.

Kiedy zaś kochanek zdobędzie serce dziewczyny, kończy uwodzenie, chwytając się rozmaitych sposobów.

Kiedy bierze udział razem z nią w jakiejś grze lub ćwiczeniu, chwytając ją za ręce z wyraźnym zamiarem; łączy się z nią w różnych uściskach opisanych w Sutrze.

Niekiedy pokazuje jej wycinankę zrobioną z liścia drzewa, a wyobrażającą parę połączonych kochanków, zachwycę się widokiem pąków kwiatów i młodych liści, nabrzmiałych sokiem na wiosnę.

Opisuje swoje cierpienie i opowiada piękny sen, jaki śnił mu się o innych kobietach.

Na zgromadzeniach kasty sadowi się obok niej i pod byle pozorem przyciska do niej; stawia stopę na jej stopie, palcami dotyka delikatnie i po kolei palców jej nogi i uciska je czubkiem paznokcia.

Jeżeli nie natrafi na sprzeciw, niech weźmie następnie jej stopy do ręki i ścisną je delikatnie. Kiedy przypadkiem wstanie, niech ścisną również palec jej ręki palcami nogi; ilekroć otrzymuje od niej lub daje jej jakiś przedmiot, niech okazuje gestami i wyrazem oczu miłość, którą do niej płonie. Niech opryska ją wodą, którą przyniesiono mu do płukania ust.

Kiedy znajdzie się z nią w ustroniu, niech ją darzy miłosnymi pieszczotami, opisując jej swą namiętność, nie wprawiając jej jednak w zakłopotanie i nie raniąc w czymkolwiek.

Ilekroć usiądzie przy niej na tej samej ławce lub łóżku, niech ją potem weźmie na stronę mówiąc, że musi porozmawiać na osobności i wówczas niech wyzna jej miłość raczej gestami niż słowami. Niech weźmie jej rękę i położy na czole; jeżeli jest u niego w domu, niech ją zatrzyma pod pretekstem przygotowania sobie leku, który nie będzie skutecznym, jeżeli ona sama nie przyłoży do tego ręki.

Gdy odchodzi, niech ją usilnie prosi, by go znowu odwiedziła, a kiedy ośmielona zacznie to czynić częściej, niech wiedzie z nią długie rozmowy: „Ponieważ, mówi Ghotakamukha, jak wielką nie byłaby miłość mężczyzny do kobiety, to tylko dzięki słowom zostanie odwzajemniona”.

W końcu, kiedy widzi, że dziewczyna w pełni jest uległa, może ją posiadać.

Kiedy mężczyzna nie może sam osiągnąć tego celu, niech się posłuży siostrą mleczną dziewczyny. Ta nakłoni dziewczynę, by go odwiedziła i wszystko potoczy się jak powiedziano wyżej.

Jeżeli nie ma siostry mlecznej, wysyła do niej jedną ze swych służących, która zostanie przyjaciółką dziewczyny i będzie pracować dla niej.

Niech tak postępuje, by się z nią widywał w czasie zgromadzeń publicznych i spotkań prywatnych, a kiedy znajdzie się z nią sam na sam, niech ją zdobędzie. Gdyż, mówi Watsajana, kiedy jest czas i miejsce po temu, żadna kobieta nie oprze się mężczyźnie, którego kocha”.

(CDN)

Aby osiągnąć dobro, trzeba poznać zło

Rozmowa z aktorem Zygmuntem Malanowiczem

— Po dyplomie debiutował Pan na scenie Teatru im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze.

— W Teatrze Lubuskim pracował wówczas Marek Okopiński, bardzo wzięty reżyser, który prowadził teatr w sposób prężny. Wydawało mi się, że pod jego okiem uda mi się jakoś „zaistnieć”. Teatr miał charakter objazdowy, bez możliwości stałego grania, brakowało mieszkań, czyli podstawowych warunków, które powinien mieć aktor, szczególnie młody.

W Zielonej Górze pracowałem jeden sezon i zagrałem rolę Otszelnikowa w „Polowcańskich sadach” Leonowa. Sztuka grana była dość krótko.

— Jak trafił Pan do Warszawy?

— Marek Okopiński objął kierownictwo nad Teatrem Polskim w Poznaniu. Z Zielonej Góry wziął ze sobą dużą grupę aktorów, także mnie. W teatrze poznańskim graliśmy cztery sezony, po czym przeszedłem do Teatru Ludowego w Nowej Hucie, gdzie przez siedem lat prawie „nie schodziłem” ze sceny i pracowałem bardzo ciężko. Z Nowej Huty wyjechałem do Łodzi. Tam w PWST wykładałem aktorstwo filmowe. Zaś z Łodzi po dwóch latach przeniosłem się do Warszawy.

— Nie uważa Pan, że Zielona Góra, po odejściu M. Okopińskiego, dużo straciła na swym życiu kulturalnym?

— Życie teatralne Zielonej Góry za dyrekcji Marka Okopińskiego było dość głośnie. W tej chwili natomiast bardzo niewiele się słyszy o mieście. Ton nadejmuje obecnie jedynie Festiwal Piosenki Radzieckiej, który rzeczywiście wynosi to

miasto na szersze forum kulturalne w Polsce.

— Warszawa to wspaniałe miasto. W Zielonej Górze nie ma takich doskonałych aktorów... i zawsze jest to prowincja.

— Ale proszę pana, ci wspaniali aktorzy nie rodzą się tylko w Warszawie i nie jest regułą, że młody aktor nabywający umiejętności i praktykę w Zielonej Górze, będzie później gorszym aktorem od tego, który swoją osobowość stabilizował w najlepszym teatrze stołecy. Mówi pan, że Warszawa to wspaniałe miasto. Na pewno, ale Zielona Góra jest też bardzo urokliwa i mnie osobście bardzo się podoba. Pamiętam pięknie położoną na wzgórzu, ze wspaniałym widokiem — Palmiarnię, piękne tradycje winobrania ze wspaniałymi korowodami, bardzo gorące specyficzne lato. Bardzo miłe wspominać również Łagów, który od dawna ma ciekawe tradycje kulturalne.

— Jak ocenia Pan publiczność zielonogórską w porównaniu np. z warszawską?

— Warszawska publiczność szuka olbrzymich wrażeń, czegoś niezwykłego. Oczywiście, nie ulega wątpliwości, że większa część publiczności warszawskiej zna się na teatrze i stara się przyjmować różne kierunki teatralne. Jest bardzo chłonna, a zarazem okrutna. Publiczność zielonogórską okresu, który pamiętam, była trochę zapatrzoną na warszawską, była przy tym bardzo subtelna, nie kierująca się własnym gustem i smakiem.

— Aktorzy żyją bardzo specyficznie: mają nawał pracy, eksploatują się moc-

no. Czy trudno się do takiego stylu przyzwyczaić?

— Jeżeli to się lubi, to oczywiście nie jest trudno.

— Ale czy warto tak żyć?

— Czy warto tak żyć? Czy warto podjąć się zagrania postaci człowieka, który znęca się nad starą kobietą? Czy warto tak żyć, jeżeli jest coś niezgodne z etyką danego aktora? Czy warto tak żyć, jeżeli jest się słabo opłacanym? To są pytania, na które każdy z nas mógłby różnie odpowiedzieć. Jedno jest pewne: aby osiągnąć dobro, trzeba pokazać zło.

— Jak się Panu pracuje z dyrektorem Teatru Rozmaitości, Ignacym Gogolewskim?

— Z Ignacym Gogolewskim pracuję mi się bardzo dobrze. Na nic nie umiemy się z góry: nie ma uciążliwych tłumaczeń czy niepotrzebnych rozjaśnień. Z Gogolewskim po raz pierwszy spotkałem się w Teatrze Telewizji, gdzie reżyserował „Złote runo”. S. Przybyszewskiego: było to już po objęciu przez Gogolewskiego dyrekcji Teatru Rozmaitości. Uważam, że jest to mądry człowiek i bardzo wysokiej klasy aktor — z takimi ludźmi łatwo mi się porozumieć.

— Słyszałem opinie, że I. Gogolewski zwolnił w ostatnim czasie bardzo dużo aktorów, przeważnie kobiety?

— Jeżeli to zrobił, to nie jest to przypadek szczególny. Dyrektor nie ma obowiązku dożywotniej pracy z aktorem. Dyrektor powinien mieć pewną swoją koncepcję i marzenia zawodowe związane z teatrem.

— Jest Pan aktorem bardzo charakterystycznym, mającym wielu zwolenników. Jest Pan laureatem Międzynarodowego Festiwalu Filmów Fabularnych w Karlowych Varach w 1976 roku. Czy uważa się Pan zatem za człowieka sukcesu?

— Trudno określić, co to jest sukces. Szczególnie w kategoriach artystycznych jest on bardzo niewymierny. Człowiek osiągający sukces nie zawsze ma do niego pełne prawo. Bardzo często sukces jest niezwykle złudny, gdyż bywa tak, iż aktor grający główną rolę w serialu telewizyjnym osiąga sukces, a rok, dwa — po emisji owego serialu — jest już zapomniany.

— Czy ludzie często zaczepiają Pana na ulicy?

— Stykam się z różnymi ludźmi, bardzo często z niekulturalnymi, którzy za bierając czas zatrzymując mnie na ulicy. Wszystko byłoby w porządku, gdyby zaczęli powtarzać — „Cześć, stary Ja ciebie znam”. Odpowiedziałbym mu wtedy: „Cześć. Bardzo mi miło, że mnie poznajesz”. I rozeszlibyśmy się — każdy w swoją stronę. Bywa inaczej. Uważam, że jeżeli zatrzymuje się człowieka czyli mnie na ulicy, łapie za guzik i długo opowiada o uwielbieniu, to jest to nieporządne.

Miałem też i inne, ciekawe zdarzenia: spotykałem ludzi starszych, słyszałem od nich kilka mądrych i ciepłych słów, które kończyły się podziękowaniem za moją pracę. Była to najważniejsza i najpoważniejsza ocena mego aktorstwa.

— Nad czym Pan obecnie pracuje? — Skończyłem „Zabusię” Gabriela Ża polskiej. Może uda mi się trochę „odpocząć” od teatru. Jeżeli chodzi o film, nie mogę nie konkretnego na razie powie-

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: BOGDAN KUNCEWICZ



Notatki ze szpitala

Nie jestem dzielna:
proszę o myślą dziurę.
Nie jestem ważna
ani cenna:
wielka jest mądrość nauczających pokory.
Targuję się
o byle ziele,
o wstawania pochmurne,
o paleczkę błazna,
o noc bezsenność,
o kuchnię pełną pary,
ale nie o to:
qualis artifex.

Pozostaw nam nadzieję,
która jest jak ręcznik na poręczu łóżka rodzącej,
dla nas
rodzących śmierć.
Nie możesz zabierać wszystkiego,
bo nawet Hiobowi pozostały psy.
Cokolwiek napiszemy na fasadzie naszego domu,
z którego odchodzimy,
będzie płaskie i suche jak stukanie kołatką,
bo to my
jesteśmy dźwięcznością i cieniem.

Cierpieć z nadzieją

O czym może pisać chory? Na pewno zapisuje daty, wysokość gorączki, luźne wspomnienia. Czasem chorobę swą wykorzystuje na poczynienie pewnych spostrzeżeń ogólnych, filozoficznych. I to właśnie robi w swych „Notatkach ze szpitala” Irena Dowgielewicz — snuje refleksje na temat kondycji człowieka chorego.

Tytuł dwóch krótkich poetyckich form wystarczyć nam musi za cały nie przedstawiony obraz szpitalnej bieli, szpitalnego zapachu ludzkiego potu, lekarstw, cierpienia. Nie jesteśmy tym samym wprowadzeni w jakąkolwiek konkretną sytuację, lecz bezpośrednio stykamy się — nie z bólem słabego ciała, a z bólem egzystencji. Istnienia świadomego swej małości i normalności; powszedniości zarazem.

Pierwsza z form zbudowana jest na ciekawych zestawieniach przeciwieństw różnego stopnia uogólnienia. W antytezie najwyższej — umysł, wyobraźnia i autoświadomość zwyciężają chorobę i słabość organizmu, a jednocześnie wobec nich, jedynych świadków toczącej się wewnątrz walki, określają sytuację pacjentki. Autorka spostrzegła nie przyznaje się do tchórzostwa. Woli mówić o braku dzielności, przy której — najbezpieczniej jest ukryć się w myśli dziurze. Wartością nadzmierną pozostaje strach. Ale przy zauważeniu własnej małości „schronienia” już nie trzeba. Alternatywą jest wskazanie tego, co rzeczywiście cenne i ważne: „mądrość nauczających pokory”. Ta bliskość nieznanych mędrców nobilituje naszą osobę, już nie tak skromną, choć jeszcze nie tak ważną.

Strach i brak skromności sprawiają, iż bohaterka wiersza nie godzi się z wyrokami: „Targuję się”. Wszystko w owym targowaniu jest istotne: przyroda (byłe ziele), panowanie nad nastrojami swoimi i cudzymi (wstawania po chmurne, paleczka błazna), ludzka, kobieca codzienność (częsty u Dowgielewiczowej motyw — kuchnia pełna pary). Jedną tylko wartość zostaje poza zasięgiem targu: „qualis artifex”. Jakiś artysta. Pieśń o codzienności nie dopuszcza pragnienia bycia twórcą, jakby ów stan zarezerwowany był na chwilę światła, dla dzielnych, ważnych i cennych. I chyba — nieskomornych. (Interesujące, że drugie znaczenie słowa artysty to — intrygant, szalbierz; sztuka ma w sobie coś z szalbierstwa, ale i po stawia bohaterki odcinającej się od pojęcia artysty przypominającą zamkniętą intrygę, dawne kasprowicowskie wyrażanie światu i... bogu).

O ile w pierwszej notatce autorka wyraźnie akcentuje własną ja i wypowiada poetyckie credo, o tyle w części drugiej styka nas z formą „my”, poetyckie lęki przenosząc na większe sku-

pisko, np. chorych w szpitalu, chorych ludzi w ogóle. Któż jest adresatem tej wypowiedzi? Kto jest tak silny, że mu symy go proszą: „Nie możesz zabierać wszystkiego?”. Kto doświadczył biblijnego Hioba, choć i nawet jemu „pozostały psy”? Oczywiście, bóg. Poetka wielokrotnie w swej twórczości zwraca się do boga, widząc w nim nie tylko siłę, ale i dobro, ucieczkę w strapieniu; pocieszenie. Przy takiej interpretacji chciałoby się owo buńczuczne targowanie o „noc bezsenność” zastąpić wyciszoną modlitwą. Mądrość i pokora lepiej czują się w sąsiedztwie bogobojnego stwierdzenia „modlę się”, usprawiedliwiającego zarazem niewiarę we własne poetyckie możliwości lub — chęć zawdzięczenia wszystkiego, nawet twożenie, jedynie własnym siłom. Jakże to dziwne i przewrotne — sztukę i twórczość traktować na równi z zieleń ku powanym, targowanym. Takie to ludzkie, a może babskie?

Prawdziwej modlitwy doczekała się jedynie nadzieja, uczucie porównane do szpitalnego rekwiytu, ręcznika zawieszzonego na poręczu łóżka rodzącej. Nadzieja bowiem nie należy tylko do jednej osoby, ale jest wspólną zaletą tych wszystkich, których doświadczył los (bóg) i skazał na chorobę, powolne umieranie. Nadzieja jest tym dla „rodzących śmierć”, czym dla Hioba — psy. Jedyną radością, środkiem na przetrwanie i drogą do dalekiego, prawdopodobnie nieosiągalnego celu.

W przeczuciu śmierci nic, poza nadzieją, nie okazuje się ważne. Ani najbliżej, ani miłość, ani żadne dobro materialne. Dla Dowgielewiczowej najwęższą wartością jest człowiek cierpiący i samotny w swym cierpieniu. Odchodzącego, umierającego nie jest w stanie zastąpić. Czytamy pochwałę fenomenowi ludzkiego istnienia: „bo to my jesteśmy dźwięcznością i cieniem”.

„Notatki ze szpitala” nie są w swej fakturze jednorodne. Część pierwsza za wiera opis stanu leżącego człowieka, silnej indywidualności, jej walki o jestestwo świadome, nie narzucone przez nikogo; wybrane. Natomiast druga notatka jest obroną jakości jedynie ważnej w życiu, w zagrożeniu — nadziei, która nie tylko pozwala przetrwać chwilę najcięższą, ale i umożliwia zbudować nową przyszłość.

Wskazanie szpitala traktować musimy bardzo umownie. Zauważmy, iż po za jednym zaangażowanym w metafizyczny element — brak niepokojącego sztafażu szpitalnego. Owszem, choroba prowokuje przemyslenia charakterystyczne dla „Notatek...”, lecz pozwala na uogólnienie ich odczytywanie. Ludzką kondycję, karmioną nadzieją — na wyzdrowienie, życie, twórczość — spotykamy w wielu chwilach zagrożenia. Proponowana przez poetkę filozofia wiary jest przecież udziałem wielu z nas.

W innym z wierszy (xxx), „Żyję bardzo śmiesznie” poetka zaznacza: „Nie chcę sal aseptycznych / gdzie / zwązono, / zmierzono, / określono”. I dodaje, wskazując alternatywę choroby: „A może, gdybyśmy posadzili jeszcze w tym roku karłowate jabłonie?”. Bo, jak twierdzi autorka „Sianie pietruszki”: „Nie ma w przemijaniu gorzkości. Przemijania też nie ma”. Zwykły, ludzki strach przed śmiercią domaga się schronienia i przetrwania w oceniającej nadziei.

MALGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA



„WESELE” PO GORZOWSKU

Od krakowskiej premiery „Wesela” w 1901 roku minęło już szmat czasu, ale sztuka ta nieprzerwanie święci triumfy na polskich scenach. W 1932 roku Antoni Słonimski pisał: „Mało jest dzieł na świecie, które by tak łaczły w sobie plastyczność z upajającym rytmem słowa”. A dalej w tym samym tekście: „Słowo CZYN, drukowane w czasopiśmie Wyspiańskiego wersalikami, po traktacie wersalskim czas już przelotnie na skromny petit. Dziś wszystkie wroty, gusty, pozabawione są dreszczu emocji, bo znamy już dalszy ciąg (...). W powstaniu państwa, które zyskało niepodległość na skutek ogromnych przesunów politycznych i społecznych w powodzi krwi, po wojnie, na której padło dziesięć milionów ludzi i która wstrząsnęła równowagą całego świata, powodując klęski ekonomiczne, pierwiastek mistyczny nie doszedł do głosu (...). „Wesele”, jak i inne sztuki, w których mistycyzm i legenda były usprawiedliwione czadem niewoli, są dziś niebezpieczne i obowiązujące. Słowa nabrały innego znaczenia, stały się obywatelami”.

W listopadzie 1944 roku pierwszym spektaklem teatralnym, jaki obejrzała wyzwolona lewobrzeżna część stolicy, było „Wesele”.

Jest ta sztuka mocno związana z naszą historią, funkcjonuje w naszej świadomości mnogością powiedzonek i cy-

tatów, jest także związana z tradycją polskiego teatru. Sztuka Wyspiańskiego stała się testem dla zespołów teatralnych i reżyserów. Powiada się w teatrze, że jeśli nie ma w zespole aktorskim obsady „Wesela”, to interes należy zamknąć. Dyrektor Baniukiewicz doszedł widać do wniosku, że pora już na tę wysokich lotów próbę.

Podniesiona do połowy kurtyna odsłaniała duży stół, na którym stały butelki z alkoholem. Płyn w połowie butelek jest biały, a w połowie butelek czerwony. Wokół tego stołu toczy się będzie akcja „Wesela”. Reżyser i scenografowie nasycili spektakl narodową symboliką i współczesnymi odniesieniami. Na czarnej szafie widnieją zarysy postaci Matki Boskiej z dziećmi. Na tym wizerunku białoczerwony pasek, poniżej wiszą skrzyżowane szable. Po prawej i po lewej stronie ustawiono, frontalnie do widza, drzwi. Tym po prawej wchodzi wszystkie postaci symboliczne dramatu. Pierwszym dużym zaskoczeniem w tym spektaklu pełnym niespodzianek jest brak weselnej muzyki. W głębi sceny porusza się kilka par, wykonując taneczne ruchy i od czasu do czasu przystając. Zaskakują dźwięki płynące z głośników: odgłos pisania na maszynie, dźwięk przelatującego odrzutowca, a w finale odgłosy wydawane przez pojazdy mechaniczne: dźwięki wybuchów. Nie zawsze jest to czytelne, a przebieg dający w pobliżu Teatru pociąg wydaje się też być zamówiony przez reżysera. Z tych też powodów pierwszy akt sztuki, chociaż nie chcąc, służy oświeceniu się widza z tymi zaskakującymi propozycjami. I pierwszy akt jest zdecydowanie najgorszy. Drugi akt jest miejscami znakomity, tak jak i trzeci, który porusza widza porównującym finałem zakończonym wykonaniem przez cały zespół walcu wiedeńskiego.

Inną niespodzianką jest brak, wbrew tradycji teatralnej, ścianianego chochoła. Zastępuje go mężczyzna w czarnym ubiorze i meloniku, z twarzą ukształtowaną na mima, trzymający w ręku czerwony róż. Jest to dość ciekawa w propozycja i w teatrze chyba zupełnie nowa.

Niekwestionowaną znakomitością w tym spektaklu jest Zbigniew Moskalewicz w roli Pana Młodego. Jego Pan Młody jest z krwi i kości, a także najbliższy wyobrażeniom o tej postaci. Aktor jest od początku do końca konsekwentny w tym, co robi, nie nadużywa aktor-skich środków, prezentując postać jowialnego chłopomana. Agata Witkowska w roli Panny Młodej również nie zawiodła oczekiwań reżysera tego spektaklu, jest dziewczęcą i bezpośrednią, taką jaką pewnie była Rydlowa narzeczona, a później żona. Gospodarz Wojciecha Deneki, z sumiastym wąsem i ryngrafem z Matką Boską na piersi, przypomina pewną głośną niedgdy postać z życia politycznego. I Wojciech Deneka zasłużył na specjalne wyróżnienie. Bardzo dobra jest Alina Horanin w roli Radeckiej: godna i dystansująca się od otoczenia dama, mówiąca tekst z wielką kulturą i elegancją. Wielkie brawa, i słusznie, zebrał Mirosław Gawlicki za Stańczyka. Poeta w wykonaniu Andrzeja Bysia pozostawia wrażenie niedosytu. Wydaje się, że ten aktor o znakomitych warunkach i dużych możliwościach, nie jest przekonany do tego, co mówi, jest jakby „obok” postaci. Wiele do życzenia pozostawia postać Racheli w wykonaniu Małgorzaty Wiercińskiej.

Wszelkie krytyczne uwagi o gorzowskim „Weselu” nie rzucają jednak cienia na całość przedsięwzięcia. Sądzę, że pewne niedociągnięcia można poprawić, gdy przemiana już premierowe emocje. Z całą odpowiedzialnością można stwierdzić, że w Gorzowie powstał znakomity spektakl, mądry i gorzki w swojej wymowie, momentami wzruszający, a niekiedy wstrząsający do głębi. Aktorzy mówią tekstem Wyspiańskiego o naszej rzeczywistości, o kondycji Polaków lat osiemdziesiątych. Zespół gorzowskiego teatru pokonał wysoką poprzeczkę przy wydatnej pomocy reżysera spektaklu, Wiesława Górskiego i scenografów Ewy i Wiesława Strebejków.

PIOTR PIOTROWSKI

Stanisław Wyspiański: „Wesele”, reżyseria — Wiesław Górski, scenografia — Ewa i Wiesław Strebejkowie, premiera — luty 1987 r. na scenie Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie.

Pan Młody — Zbigniew Moskalewicz po prawej i Poeta — Andrzej Bys
Fot. JERZY SZALBIERZ



...W FILHARMONII

W maju ubiegłego roku Filharmonia Zielonogórska obchodziła swoje 30-lecie. Z tej okazji odbyło się kilka koncertów, spotkań, ukazały się również publikacje. Jubileusz zbiegł się z zmianą kierownictwa naczelnego i artystycznego Filharmonii — do krakowskiej Orkiestry Polskiego Radia i Teatru lewizji odszedł doc. Szymon Kawalla, a z Katowic przybył mgr Czesław Grabowski, dyrygent, kompozytor, nauczyciel akademicki.

W lutym 1956 r. utworzono Stowarzyszenie „Orkiestra Symfoniczna w Zielonej Górze”. W 1957 r. kierownictwo artystyczne na pół zawodowego zespołu objął Roman Urbanek, po nim orkiestrą kierowali: Zygmunt Hassa, Kazimierz Morski, Szymon Kawalla, a od września 1986 r. — Czesław Grabowski. W lutym 1974 r. Orkiestra Symfoniczna została przemianowana na Filharmonię Zielonogórską, zaś we wrześniu 1983 r. otrzymała imię Tadeusza Bairda. W minionym trzydziestolecu orkiestra

zielonogórska dyrygowali prawie wszyscy najznakomitsi polscy dyrygenci, a także wielu z zagranicy. Z jej towarzyszami wykonywali arcydzieła literatury muzycznej wybitni instrumentalisci. Często w sali Filharmonii koncertowali mistrzowie tej klasy, co Światosław Richter ze Związku Radzieckiego, Konstanty Andrzej Kulka, Andrzej Hiolski, Halina Czerny-Stefańska, Regina Smendzianka, Ewa Pobłocka, Józef Stempel. Wiele razy się zdarzało, że sala przy placu Wielkopolskim była zapelniona, a melomani odchodzili sprzed kasy bez szansy zdobycia bileto-ów. Wspominam o tym dlatego, że w lutym bieżącego roku artysta fotograf Czesław Łuniewicz, od lat towarzyszący z aparatem fotograficznym także filharmonikom, zorganizował swoją wystawę „Filharmonia na fotografii”.

W kawiarni Filharmonii otwarto wystawę, która powinna być zorganizowana w maju ubiegłego roku, na 30-lecie tej szacownej i zasłużonej dla kultury instytucji. Skoro wtedy nikt nie miał głowy do tego, dobrze się stało, że teraz, późno bo późno, filharmonicy zaprosili Cz. Łuniewicza do siebie. A on przy pomocy setek zdjęć już archiwalnych odtworzył historię ich zmagania z muzyką.

U Cz. Łuniewicza wszystko zaczyna się wtedy, gdy orkiestrę objął na wiele lat Zygmunt Hassa. A potem mamy już dokładny zapis prawie kronikarski. Są więc na zdjęciach wszyscy dyryktorzy artystyczni, będący w Zielonej Górze dyrygentami, wszyscy dyrygenci, koncertmistrz, soliści. Są i ci, którzy gościnnie występowali w Zielonej Górze, m.in. Józef Wilkomirski, Frank Morgenstern, Oleg Krysa, Ildefonso Acosta Ascobar, Pola Lipińska. Może to nie oni? Twarze ludzi się zmieniają. Uważam, że pod tymi zdjęciami powin-

ny być podpisy, objaśnienia, komentarze. Młodzi melomani nie pamiętają znakomitych koncertów, gdy orkiestrę prowadził Ewa Michnik, obecnie szefowa Opery w Krakowie. Co robił w Zielonej Górze Witold Lutosławski, jeśli to on jest na zdjęciu? Czy młodzieniec z wyglądu przypominający Japonczyka to Seji Kageyama? Łuniewicz fotografował przecież podczas koncertów, musiał to robić tak, by nie zwracać na siebie uwagi publiczności. Może dlatego nie wszystkie zdjęcia są przejrzyste. Artyści muzycy są bardzo wrażliwi, denerwuje ich każdy błysk flesza, poruszenie publiczności, owacje przed finałem. Miał więc Cz. Łuniewicz trudne zadanie — musiał pokazać wysiłek dyrygenta czy wirtuoza. Stąd na tych zdjęciach tyle potu, wykrzywionych twarzy, wydętych ust, przymkniętych oczu, niekiedy i przekrzywionych muszki, i rozwichrzonych włosów. Kiedy się patrzy na prace fotografika, odczuwa się ten niecodzienny wysiłek, jaki każdy artysta wkłada w wykonanie utworu. Na tym też polega sukces Czesława Łuniewicza.

Nie powinienem narzekać, wszak to, co prezentuje fotografik, jest godne pochwale i uznania. Słowa podziękowania należą się także obecnej dyrekcji Filharmonii Zielonogórskiej. Jak się do wiać, w przyszłości w kawiarni Filharmonii będą prezentowane wystawy plastyczne autorów miejscowych i z innych ośrodków. Na tej wystawie wszystko mi się podoba, z wyjątkiem aranżacji. Cz. Łuniewicz wykonał dużo zdjęć, ale wyboru dokonywał ktoś inny. Czy dokonywał, tego nie wiem. Gdyż zdjęcia zestawiono w plakaty, umieszczono je pod szkłem jak dokumenty w muzeum. Kiepskim muzeum.

ALFRED SIATECKI



Czesław Łuniewicz — urodzony na Wileńszczyźnie, inżynier budownictwa lądowego, członek Związku Polskich Artystów Fotografików. Autor osiemnastu wystaw indywidualnych w kraju, NRD, Czechosłowacji i Francji; wielokrotnie nagradzany i wyróżniany, m.in. w 1965 r. otrzymał brązowy medal na Międzynarodowej Wystawie Fotografii Artystycznej z akt; wielokrotnie też odznaczany za zasługi w dziedzinie kultury dla miasta i województwa. Fotoreporter „Nadodrza” od 1953 r.

To tylko parę suchych faktów z życia człowieka, który imponuje ogromną pracowitością. Całkowicie oddanego fotografii, gdy dokumentuje przemijającą rzeczywistość. Lecz przede wszystkim wrażliwego twórcy.

Trudno w dwóch słowach jednoznacznie określić obszar jego artystycznych zainteresowań, choć to niewątpliwie esteta a głównym tematem jego prac jest człowiek wpisany w konkretną rzeczywistość. Łuniewicz traktuje fotografię także jako medium w przekazywaniu swego świadomości: przetwarza widziany świat w sobie tylko właściwy sposób, korzystając zwłaszcza z efektu solaryzacji, collage'u. Jego doświadczenia — twórcy i człowieka —

są bezcenne dla młodych adeptów fotografii, których od wielu lat otacza artystyczna opieka. Jest mimo to, jak dotąd, niestety, jedynym w Zielonej Górze i województwie członkiem ZPAF. Jak każdy indywidualista — kontrowersyjny w poszukiwaniach artystycznych i uroczym sposobie bycia.

W ubiegłym roku poświęcił swoją wystawę Zielonej Górze. Uznano ją za dyskusyjną, a on mówił: „Kochając moje miasto często pokazuję nie jego dobrą twarz, nie jego piękno, ale to, co je niszczy, co nie przysparza mu chwały, co mnie w nim boli.” Kilka lat temu otrzymał od swego miasta pracę nie na starość.

Z okazji 60-lecia urodzin (w co aż trudno uwierzyć!) — złożono mu wiele gratulacji i życzeń. W liście podpisanym przez I sekretarza KW PZPR Zbigniewa Niemnińskiego i wojewodę zielonogórskiego Zbyszka Piwońskiego czytamy: „... Pana długoletnia działalność fotograficzna, dokumentowanie istotnych wydarzeń politycznych, gospodarczych, kulturalnych i społecznych Ziemi Lubuskiej pozwoliło na ocalenie przeszłości od zapomnienia, a bogata twórczość wystawiennicza przybliżyła ją współczesnemu odbiorcy. W świadomości mieszkańców województwa zapisał się Pan jako nieodłączny kronikarz wspólczesnej historii naszego regionu.

Niech praca, której poświęcił Pan całe dojrzałe życie, przynosi nowe dokonania artystyczne, wewnętrzna satysfakcja i społeczne uznanie. Życzymy Panu wszelkiej pomyślności, zdrowia i osobistego szczęścia.”

Czesław Łuniewicz powiedział kiedyś: „Chciałbym zrobić takie zdjęcie albo collage, z którego wynikałoby, że historia w ostateczności wyjaśni rację poszczególnych ludzi i społeczeństw. Jest ona bezsilna w obniżaniu prawdy, bowiem tak długo, jak trwają ludzkie, wyjaśnienia ich dążeń, rozwój myśli, realizację ich koncepcji. Chciałbym tę myśl ująć w fotografię, kilku zestawach, albo poświęcić tej sprawie całą wystawę.”

I tego mu, poza wszystkim innym, serdecznie życzymy.

Fot. ELŻBIETA WALENSKA

KLUBOWE WIZYTOWKI

Piętnastolatek

w Starej Koperni

Klub Prasy i Książki w Starej Koperni, gmina Zagan istnieje od 1972 roku. Przez cały czas prowadzi go Emilia Lasurek, która należy do grupy najstarszych stażem gospodyń klubów w Oddziale RSW Zary. Z tym większą satysfakcją przeprowadziłem z nią rozmowę na temat jej pracy w klubie oraz działalności kulturalno-oświatowej placówki.

— Jak się pani współpracuje ze swoimi władzami zwierzchnimi, to znaczy z Urzędem Gminy w Zaganu i z Oddziałem RSW w Żarach?

— Doskonale. Naczelnik Tomasz Nieuchowski udziela klubowi pomocy zarówno materialnej jak i merytorycznej. Tak samo Oddział RSW w Żarach, który wyposażył klub w nowe meble klubowe i sprzęt audiowizualny. Przydałyby się jeszcze magnetofon stereofoniczny, gdyż jest potrzebny zespołom do różnych prób, ale jak to mówi polskie przysłowie „nie od razu Kraków zbudowano”... Sądzę, że na wszystkie przyjdzie czas i magnetofonu się też doczekamy.

— Czy są w klubie jakieś zespoły artystyczne?

— Tak. Jest zespół wokalo-muzyczny pod nazwą „Są Gorski”, w którym wystę-

pują: Małgorzata Kopeć, Tadeusz Kopeć, Bożena Rachwańska i Zbigniew Skóra. Mamy także kabaret „Mit” działający od 1972 roku. Ludzie się zmieniają, a kabaret istnieje dalej. Uczestniczy w wielu różnych imprezach, między innymi był na Ogólnopolskim Przeglądzie w Tarnowie w roku 1981. Mamy też amatorski dziecięcy teatrzyk kukielkowy. Najbardziej aktywnymi małymi aktorami tego teatru są: Janusz Szatkowski, Agata i Mirona Chamarczuk, Bożena Białkowska i Tomasz Toczyk.

— Czy to już wszystko?

— Nie. Mamy jeszcze sekcje: szachową, leżarówkową, plastyczną i robótek ręcznych.

— W jakim stanie znajdują się pomieszczenia klubowe?

— Klub kwalifikuje się do remontu i powinno to nastąpić już w bieżącym roku, ale na razie Urząd Gminy nie ma środków. Trudno więc przewidzieć, kiedy rozpocznie się remont. Chciałabym, aby to nastąpiło w miarę szybko.

Stara Kopernia to duża wieś, ale klub jest w niej jedyną placówką kulturalno-oświatową. Nawet szkoła jest tylko jednoklasowa powstała dopiero w tym ro-

ku. Całe życie kulturalno-oświatowe skupia się w klubie i gdyby nie pomoc z zewnątrz, byłoby bardzo ciężko.

— A kto jeszcze pani pomaga...?

— Kółko Rolnicze, a szczególnie kierownik Igor Woźniarski. Daje nam pieniądze na różne imprezy, a ostatnio zakupił lenteks dla potrzeb klubu. Ponadto bardzo zaangażowane są dwie panie z Koła Gospodyń Wiejskich: Krystyna Pawlicka i Wanda Szatkowska. Dobrze współpracuje się również z kierowniczką biblioteki w Bożnowie, która codziennie dostarcza nowe książki do punktu bibliotecznego. Jest to niebagatelna sprawa, gdyż z punktu korzysta 75 stałych czytelników. Ci wszyscy ludzie uczestniczą w organizacji różnego rodzaju imprez artystycznych, aranżowanych bezpośrednio przez klub. A odbywa się sporo, jak na przykład akademie okolicznościowe, imprezy artystyczne własnych zespołów, wieczornice, zgady — zgadule, zajęcia programowe poszczególnych sekcji i kółek zainteresowań, dyskoteki oraz wiele innych gier i zabaw rozrywkowych.

Na zakończenie należy dodać że klub jest trzyizbowy, ale rzeczywistość wymaga remontu i to jak najprędzej. Na podkreślenie zasługuje także udział w życiu kulturalno-oświatowym społecznej rady klubu, której przewodniczący Zygmunt Chamarczuk.

Działalność tam Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, które prowadzi szeroko zakrojoną działalność oświatową, ciesząc się w środowisku dużym zainteresowaniem. Odbywają się również spotkania z dziennikarzami i pisarzami.

ZENON CZARNECKI

GORZÓW. Rada Gorzowskiego Towarzystwa Kultury zapoznała się z informacją Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków na temat ogólnego i konserwacji obiektów zabytkowych w Gorzowskiem. Działacze GTK uważają, że społeczny ruch kulturalny powinien rozciągnąć opiekę nad obiektami już wyremontowanymi i zabiegać o środki na remont innych zabytków. Rada GTK przyjęła również sprawozdanie Prezydium z działalności programowej i finansowej w 1986 r. oraz powołała Sekcję Regionalną, wybierając Zdzisława Linkowskiego, dyrektorem Muzeum Okręgowego, na jej przewodniczącą. W związku ze zgonem prezesa GTK, Mirosława Sopala, Rada powołała na tę funkcję Edwarda Korbanę, a w skład Prezydium GTK — Mariusza Erdmanna, pierwszego sekretarza KM PZPR w Gorzowie.

Na zaproszenie frankfurckiego Związku Kultury NRD (Kulturbund) przebywała za Odry delegacja Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Od wielu lat GTK owocnie współpracuje z bratnią organizacją w NRD, upowszechniając zdobycze kultury i sztuki obu narodów. W okręgu Frankfurt nad Odrą odbywali spotkania literaci gorzowscy, m.in. Zdzisław Morawski, Witold Niedźwiecki, Bronisław Siomka, Stanisław Plewiński, zaś w Gorzowskiem przebywali na spotkaniach z czytelnikami pisarze frankfurccy. Janina Trojan, członkini Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego, przedstawiła we Frankfurcie swoją wystawę fotograficzną, przyjętą tam z uznaniem. Do sprawozdanych już form współpracy międzynarodowej obie organizacje postanowiły dołączyć wspólną troskę o zabytki kultury i sztuki. Latem przyjadą do Przytocznej na imprezę folklorystyczną przedstawiciele Związku Kultury NRD, zaś do Frankfurtu wyjedzie delegacja GTK, która weźmie udział w Zjeździe Kulturbundu.

KOSTRZYŃ. Odbyły się VIII Kostrzyńskie Dni Poezji, organizowane przez miejskie placówki kulturalne. Uczestnicy i goście imprezy obejrzeli widowisko poetyckie według tekstów L. Cohena pt. „Drugi raz nie poproszę nas wcale...” oraz wysłuchali recitalu Elżbiety Kuczyńskiej, laureatki jednego z poprzednich festiwali piosenek radzieckiej w Zielonej Górze.

MIEDZYSZECZ. W 1986 r. międzyrzeckie Muzeum — Pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego odwiedziło blisko 30 tysięcy osób. Muzeum, znajdujące się w zamku z XIV i XVI w., posiada niezwykle bogate zbiory. Szczególnie cenna jest kolekcja portretów trumiennej, powstała dzięki staraniom założyciela placówki Alfia Kowalskiego. W ubiegłym roku portrety z Międzyrzecza razem z obrazami z Muzeum Narodowego w Kleicach były prezentowane w Helsinkach.

ZIELONA GÓRA. Jubileusz czterdzięcia obchodzi zielonogórska Scena Lalkowa, założona przy teatrze dramatycznym za dyrekcji Marka Okopńskiego, jako teatrzyk lajkowy „Cudaczek”. Jej pierwszym kierownikiem była aktorka Halina Lubicz. Zespół Sceny Lalkowej, nadal działający w ramach teatru dramatycznego, przygotowuje rocznie 3—4 premiery i dociera do ponad 50 miejscowości województwa: gorzowskiego, legnickiego, leszczyńskiego i zielonogórskiego. W 1982 r. władze miasta przekazały Scenie Lalkowej budynek dawnego klubu „Relaks” z przeznaczeniem na jej stałą siedzibę. Niedawno budowlani zakończyli prace adaptacyjno-remontowe i zespół przejął obiekt, w którym prócz kilku pracowników znajduje się sala teatralna na 80 miejsc. W przyszłości Scena Lalkowa otrzyma inną siedzibę, w centrum miasta.

GŁOGÓW. Kolegiata głogowska, której początki pochodzą z XIII wieku, należy do najcenniejszych zabytków architektury sakralnej na Dolnym Śląsku. W czasie działań wojennych została całkowicie zniszczona. Zniszczenia odsoniły we wnętrzu chóru kamienny posąg księżnej Salome, żony księcia głogowskiego Konrada I. Posąg ten, znajdujący się obecnie w Muzeum Narodowym w Poznaniu, jest najwybitniejszym zabytkiem wczesnogotyckiej rzeźby kamiennej w Polsce. Odkryto tam również resztki kościoła grodzowego, wspomnianego przez Galla Anonima w relacji o obronie Głogowa w 1109 r. Niedawno postanowiono, że kolegiata będzie odbudowana. Obowiązki inwestora przyjęła parafia rzymsko-katolicka w Głogowie.

LEGNICA. W 1980 r. wydawnictwo „Książka i Wiedza” wydało wspomnienia legnickanina Tomasza Kurylowa pt. „I tak przegracie wojnę”. T. Kuryłow opisał w książce swoją przymusową robotę w fabryce zbrojeniowej w Wetzlar niedaleko Frankfurtu nad Menem. Za udział w akcji sabotażowej najpierw dostał się do obozu koncentracyjnego, a potem hitlerowcy przewieźli go do Francji, gdzie pracował przy budowie wyrzutni pocisków V-1. Stąd uciekł do francuskiego oddziału partyzanckiego. Do Polski wrócił w 1946 r. Wydawnictwo „Dietz Verlag” w NRD wydało wspomnienia T. Kurylowa po niemiecku. Książka trafiła do czytelników w RFN, a w mieście Wetzlar wzbudziła ogromne zainteresowanie. W marcu br. związek zawodowy metalowców w fabryce, w której robotnikiem przy musowym był T. Kuryłow, zaprosiła go na spotkanie autorskie i wystawę dokumentów z lat wojny. T. Kuryłow napisał dalszy ciąg swoich wspomnień i złożył je w Wydawnictwie Dolnośląskim we Wrocławiu.

W TEATRACH NADODRZA: Gorzów — „Wesele”, „Słowicza wyspa”; Zielona Góra — „Antygona”, „Bałkański szpieg”; „Ania z Zielonego Wzgórza”; Legnica — „Nie-boska komedia”, „Piętno”, „Głosy umarłych”; Jelenia Góra — „Golem”.

PERSONALIA. Władysław Chrostowski — 1. 44 (żona Halina, nauczycielka matematyki; córki: Ewa, 1. 11 i Anna, 1. 7), historyk sztuki, absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, 1973—78 — Powiatowy i Miejski Konserwator Zabytków w Stargardzie Szczecińskim, 1978—86 — najpierw Wojewódzki Konserwator Zabytków potem i zastępca dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki, został powołany na stanowisko dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie. Wojciech Judkowski — 1. 41 (żona Irena, ekonomistka; dzieci: Aneta, 1. 15 i Dariusz, 1. 12), absolwent matematyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, nauczyciel, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Doskonalenia Zawodowego, dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych Kombinatu Budowlanego, od 1985 r. wicekurator Oświaty i Wychowania, został ponownie wybrany na przewodniczącego Rady Wojewódzkiej PRON w Zielonej Górze. Edward Korban — 1. 49 (żona Olga; dzieci: Leszek, inżynier i Wioletta, inżynier), absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, wieloletni członek Myśliborskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, członek Prezydium Gorzowskiego Towarzystwa Kultury, od 1987 r. sekretarz KW PZPR, został wybrany na prezesa GTK. w Gorzowie. Marzena Łyzkowska — 1. 20, słuchaczka Studium Nauczycielskiego w Zielonej Górze, 166 cm wzrostu, 50 kg wagi — została wybrana na Miss Ziemi Lubuskiej 1987 r.

ZAPROSILI NAS: Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej na spotkanie z okazji XXX-lecia ZMW; Komitet Organizacyjny XXV Olimpiady Wiedzy Rolniczej w Zielonej Górze na finał wojewódzkiej olimpiady; Prezydium Rady Wojewódzkiej PRON w Zielonej Górze na II Zjazd Wojewódzkiej PRON; Biuro Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze na otwarcie wystawy prac Jerzego Budzińskiego; Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze na otwarcie wystawy „Zabytkowa kartografia w zbiorach WiMBP”; Zakładowy Dom Kultury HSO „Kunice” w Żarach na wernisaż wystawy pokonkursowej „Kobiećta 87”; Dzierżoniowski Ośrodek Kultury na otwarcie wystawy „Akt kobiecy w ekslibrisie” z kolekcji Józefa T. Czosnyka. Dziękujemy.

nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-057 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-058 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dla telefonów wewnętrznych). Telex 643225. Redaguje zespół: Halina Aniska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masłowska (statystka), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.), Wiesław Nodzyński (sekretarz

red.), Piotr Plotowski, Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkuta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterów. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 35 45-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-95. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróćć i zmian tytułów.

B-20

Z życia LTK

Rozpoczęły się przygotowania do VIII Sejmiku Kultury, który odbędzie się w drugiej połowie września. W towarzystwach regionalnych sfederowanych w LTK odbywają się wybory delegatów na Sejmik. W tym roku przypada 30-lecie Lubuskiego Towarzystwa Kultury, które podczas VIII Sejmiku wybierze nowe władze i wytyczy program działania. Z okazji 30-lecia LTK wydało medal odlany w brązie, wykonany w Mennicy Państwowej. Medal projektowali — Witold Michorzewski (konceptja graficzna) i Stanisława Wątróbska (wykonanie w gipsie). Na awersie medalu znajduje się podobizna Jana Cichego, pierwszego honorowego prezesa LTK, i daty 1878-1957. Na rewersie umieszczono napis: XXX Lecie Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Medal jest przyznawany przez Prezydium LTK działaczom społecznym za długolletnią pracę w regionalnym ruchu kulturalnym na środkowym Nadodrzu.

Ponad 30 studentów historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej należy do Koła Miłośników Regionu, którego opiekunem naukowym jest Andrzej Wałkowski. Młodzi regionaliści organizują spotkania z historykami, działaczami społecznymi Ziemi Lubuskiej, zwiedzają miejsca pamięci narodowej, poznają zabytki środkowego Nadodrza. Podczas wakacji zajmą się porządkowaniem księgozbioru zagańskiego, który po konserwacji powróci do dawnej biblioteki augustiańskiej.

W kolach terenowych Sekcji Plastyki Amatorskiej trwają zebrania konsultacyjne. Artysta plastyk Adam Bagiński, opiekun artystyczny Sekcji, dokonuje przeglądu indywidualnych osiągnięć jej członków oraz udziela porad i wskazówek. Członkowie Sekcji przygotowują zestaw prac olejnych i grafik, które zostaną przekazane bezpłatnie niektórym szkołom, domom kultury i placówkom służby zdrowia.

Do Klubu Literackiego LTK i ZLP należy ponad 40 młodych adeptów pióra. Systematycznie raz w miesiącu odbywają się spotkania konsultacyjne, konkursy jednego wiersza i dyskusje. Klub wydaje biuletyn pt. „Nasz Głos”.

Niebawem w wydawnictwie LTK ukaza się kolejne książki. Jerzy P. Majchrzak napisał opowieść historyczną o przeszłości Ziemi Lubuskiej, której fragmenty drukowaliśmy na łamach „Nad-

odrza”. Włodzimierz Kwaśniewicz przygotował do druku przewodnik z zakresu broniostwa, który także wcześniej drukowaliśmy w „Nadodrzu”. W serii „Skarbiec Lubuski” wydzie trzecia książeczka pt. „Jan Cichy”, której autorem jest Wiesław Sauter.

Odbył się III Sejmik Towarzystwa Przyjaciół Lubrzy, podczas którego dokonano oceny pracy Towarzystwa i wytyczono nowe zadania. TPL zamierza być doradcą naczelnika gminy do spraw życia kulturalnego, a jego Zarząd ma stanowić Radę Programową Gminnego Ośrodka Kultury. Postanowiono, że nakładem TPL ukaże się folder o Lubrzy. Będzie kontynuowana doroczna impreza „Noc nenufarów”. Towarzystwo zajmie się poprawą estetyki wszystkich wsi w gminie Lubrza. Wybrano nowy Zarząd w składzie: prezes — Bolesław Kolakowski (rolnik indywidualny), wiceprezes — Teresa Lewandowska i Stanisław Zmywaczki oraz sekretarz — Stanisław Kozubal.

Po kilkuletniej przerwie zebrał się członkowie Sulechowskiego Towarzystwa Kultury, które kiedyś należało do aktywniejszych na Ziemi Lubuskiej. Postanowiono kontynuować działalność w oparciu o poprzednie plany pracy. Na prezesa STK wybrano Bernarda Grupe, nauczyciela w Studium Nauczycielskim w Sulechowie.

Sytuacja jest klarowna. Poczynając od sposobów finansowania, poprzez projektowanie, wykonawstwo, kończąc na rozdiale mieszkań, wszystko to pozwala określić obecny stan narodowego przemysłu, którym budownictwo przecież jest, jako gminy. Siedmiu cementowolom grozi bankructwo. Ilości firmami budowlanymi powinien zająć się komornik, wiedzą banki i wróble na dachu. Miecz Damoklesa wiszący nad głowami rządów kraju — ów rozpaczliwie niezaspokojony, powszechny głód mieszkaniowy, paraliżuje wolę naprawy, oddala męskie decyzje. Bo a nuż będzie jeszcze gorzej. Gorzej być nie może, ale my, Polacy, przybijając do dna, z doświadczenia wiemy, że jednak gorzej może być. Przykładając ucho do owego dna, słyszymy, że od spodu ktoś puka.

Klarowność sytuacji polega i na tym, że droga do budowlanego piekła wybrukowana jest kamieniami dobrych chęci: mądrymi reformami, które miały w zamierzeniu racjonalizować organizację i zwiększyć wydajność, nie zapominając o poprawie jakości, inicjatywami modernizacyjnymi, takimi jak technologia wielkiej płyty, mechanizacja robót montażowych, produkcja materiałów budowlanych rodzimym z retorty.

Dziś przebijamy Europę potworkami budowlanymi i nie nas już dziwić nie powinno. Na całe stulecie, nawet na dłużej, wszystkie nasze miasta będą do wódem zderzaniem ale i gustu po kole, które odeszły w cień a ongiś przyszło im rządzić. Być może surowy osąd dzieła naszych umysłów i rąk nas nie

czeka, bo nasi następcy umiejętności oceny zostaną pozbawieni. Byli i są symptomami odmłodzenia.

Dziennikarz stołecznego pisma użył tytułu „Warszawa nie może być Suwałkami Europy”. I gdyby w tym samym mieście na kresach obywateli był, formowałby delegację złożoną z miejscowych osiłków, celem sprawienia lańki stołecznym żurnalistom. Niesłusznie! Warszawa w istocie Suwałkami jest, w tym samym stopniu co Zieloną Górą, Gorzowem, Kaliszem, Leszmem. I nie ma się na co obrażać.

Opcja za tym, aby nie dziwić się niczemu, co jest namową na wdzianie płaszcza ze skóry nosorożca, w naszych warunkach nie może być zrealizowana. Takiego płaszcza ochronnego nie ma. Przed laty w Gorzowie wybudowano w okolicach ulicy Drzymały efektowne schody prowadzące donikad. Interpretacja tego zdarzenia pozwoliła potraktować owe dzieło jako rzeźbę parkową, albo inaczej, jako świadomie zorganizowany, komfortowy punkt widokowy. Niepowtarzalne dzieło przeszłości znalazło jednak, ku memu zdziwieniu, swego sobowtóra na terenie Nowej Soli. Obok nowe go osiedla mieszkaniowego, przy trasie komunikacyjnej, na gołym placu stanęły wspaniałe, duże schody z betonu, również prowadzące donikad.

Nie dam się nabrać na to, że jest to rzeźba plenerowa. Nie wierzę, że jest to punkt widokowy, ponieważ z taką argumentacją miałem już do czynienia. Domyślam się, że owe schody w Nowej Soli, jak te na Drzymały, miały dokądś

prowadzić, a w wyniku różnych okoliczności, wykonanie celu głównego, do którego miały owymi schodami prowadzić, odłożono ad acta, czyli na lepsze czasy.

Schody jednak są. Zaś ich obecna egzystencja budzi mój niepokój, jak każde zjawisko wymykające się idei pojmowania świata. Argumentacja za tym, że jest to zasłona artystyczna kryjąca szpetotę garaży, jest również nie do aprobaty. Wszak schody powstały w dobre reformy gospodarcze. Ktoś je po stawiał. Ktoś za nie zapłacił.

Mój niepokój o schody w Nowej Soli ma wymiar bardziej uniwersalny. Pewien pan, mieszkaniec tego miasta, ogarnięty wizjami transcedentnymi, pragnął schody wydzierżawić, celem ustawienia na ich zwieńczeniu gustownej kaplicy. W trosce o jego prywatną kieszeń, być może również z przyczyn światopoglądowych, podanie odrzucono i kaplicy nie ma. Schody zapewne zbudowane w dobrych intencjach, jak obecne piekło budownictwa, jednak są. I coś ze schodami trzeba zrobić nadając im wyższy sens. Pomyśl, aby w Nowej Soli zmienił trasę tradycyjnych pochodów ludności, po to, aby schody donikad mogły zostać zamienione na trybunę z jednej przyczyny, jest nie do zrealizowania. De filadobiorców należałoby ubezpieczyć na okoliczność wypadku przy pracy — funduszu na ten cel nie ma, a wreszcie, skąd ich tylu w trzydziestotysięcznym mieście wziąć?

RYSZARD ROWIŃSKI

namigi

Pierwszy amant dziennika TV Janusz Świerczyński zaprzagnął dowiedzieć się, o czym marzą dziewczyny, pretendujące do miana najpiękniejszej na Ziemi Lubuskiej. Odpowiedziały szczerze, że o wyjeździe za granicę, najlepiej do Holandii, bo tam praca jest lekka, przy kwiatkach, albo o własnym butikach z ciuchami.

Było to na imprezie Zielonogórskiej „Estrady”, podczas której ośmioosobowe jury, spośród ośmiu kandydatek w wieku 19–23 lat z Gorzowa, Barlinka, Zar oraz Zielonej Góry i okolic, wybrała Miss Ziemi Lubuskiej '87. Została nią 20-letnia blondynka z Lesznowa Marze na Łyczkowska i ona reprezentować będzie region w konkursie Miss Polonia. Dwie panienki wybrane wicemiss i kandydatka z nr 1, która wydawała się mieć najwięcej walorów, mogą jeszcze startować w półfinale.

Pokazały się także publiczności Miss Ziemi Lubuskiej '88 Violetta Tomasiak i wicemiss Polonia-86 Maria Wadecka. Pierwsza, na pytanie, czy posiadanie takiego tytułu zmieniło w ciągu roku coś w jej życiu, odpowiedziała przecząco. Druga wspominała o „ciężkiej drodze” do Opery Leśnej w Sopocie, gdzie 31 lipca odbędzie się bój o koronę i samo chód Toyota.

Mister satyry

Czy miał znaczenie fakt, że na jedną kandydatkę przypadał jeden juror — tego nie wiem, ponieważ obrady, pod wodzą przedstawiciela Biura Miss Polonia z Warszawy były tak ściśle tajne, jak gdyby szło o sprawy wagi państwa, nie wagi iała. Za to całkiem jawnie prezentowały się panie, kolejno w strojach spódnicy „Arka”, własnych i kostiumach księżniczki Mohaco, przy czym co najmniej dwóm należy się podziękować za dobre samopoczucie i mniemanie o sobie.

Ala to nic, w porównaniu z samopoczuciem satyryki Stanisława Penksy. Wygłosił on wierszyk o swojej babci, która „nie jada mięsa, bo nie pogryzie, ale kartkę ma”, sformułował panu Penksyowi klozet i wykonuje inne podie prace, a gdy zniechęconie, to ją się wywiezie do domu starców i po kiopocie. Pan Penksyk oznajmił też, że pisał z lat 50-tych „Tysiąc rąk, miliony rąk” jest hymnem onanistów, a żołnierska piosenka „Z młodej piersi się wyrwało” hymnem chirurgów.

Następnie odpowiadał ułożony przez siebie hymn pijaków i bimbrowników, z leitmotywem, że kryzys nie straszny, gdy ma się pół litra oraz z refrenem, że na gorzałce stoi dochód narodowy, „a więc pijmy, a więc dajmy w sztybę, by Polska rosła w siłę”, pijmy,

aż poślepniemy. Przyjął brawna i popieszyły za kulisz, mówiąc, że mu „cier stęgnie” czy coś w tym rodzaju i życząc publiczności „lagodnego komendanta...”. Prawda, że można się popisać, nie tyle ze śmiechu, co z ubolewania nad taką satyrą? Wiesław Golas śpiewał „W Polskę idziemy drodzy panowie”, było to jednak coś całkiem innego.

Okazją do posłuchania piosenek z tekstem W. Młynarskiego do znanych melodii w stylu swing miał być występ grupy „Spektrum” ale nie był, gdyż grzmiący podkład muzyczny uniemożliwił zrozumienie czegośkolwiek poza wstępnymi słowami „pupa...”. Wystąpił też zespół „Bolter”, aby udowodnić, że ma wciąż tylko jeden przeboj: „Daj mi tę noc”, a jeśli daje coś ponadto, to tylko grymasy twarzy, wyrażane przez perkusistę.

Kandydatka z nr 6, jedyna w tym gronie brunetka, opowiedziała kawał: przychodzi baba do lekarza, niesie telefon i „Express”, lekarz pyta, co jej dolega, a ona odpowiada, że „Teleexpress”. I był to najlepszy punkt tego wieczoru, pozostającego poniżej przeciętności, pod każdym względem, niestety.

HALINA AŃSKA

zamarta na chwilę, potem się sprężyła robiąc mostek na przyczepie, potem wyrzuciła nogi pod sufit, potem zacisnęła je na plecach Wicka Wichury nie pozwała lając im na żaden ruch, żeby w nią wniknąć jak najgłębiej, żeby potwał nie ruchomy, żeby mogła oblać całą swoją głębią tę jego nieziemską potęgę, a potem poczęła sama, wolniutko usuwać się w dół, wolniutko podnosić miednicę, zaciskać pochwy na jego cudownym mieczu tak, że oniemiał, zastąpił w oczekiwaniu dalszych jej ruchów bo właśnie poznawał, że samo dopadnięcie do dziewczyny i ruszanie tyłkiem, aż do wytrysku, to nie jest żadna miłość... Wysunął się z niej do połowy, ale go tak do siebie przycisnęła nogami, że uderzył ją w samo dno i strzełił. Wydał obój, w jednej chwili, okrzyk radosnego ośnienia i zwrócił się ze sobą w taką jedyn, w jakiej żadne z nich nigdy jeszcze nie było. Nie, porównanie z Nienackim jest chyłone. Ta proza ma swój kunszt... jakie to boskie, to uderzenie nasienia... — powtórzmy za panną Lobman.

ZABRAKŁO POMYSŁU? „Zapowiedzi wydawnicze” (nr 5) anonują nową książkę Romana Bratnego, zatytułowaną „Las mi powiedział”. Jest to, jak wynika z noty informacyjnej, wybór opowiadań o tematyce myśliwskiej. W 1969 r. u. nakładem Lubuskiego Towarzystwa Kultury ukazał się zbiór gawęd myśliwskich Włodzimierza Korsaka pod identycznym tytułem. Czyżby Roman Bratny, który swego czasu polował w lubuskich lasach, nie słyszał o książkach niezwykłego już nestora pisarzy, zajmujących się przez całe życie obcowaniem z naturą?

PROGNOZY DZIEDUSZYCKIEGO. W 2 numerze „Odry” Wojciech Dzieduszycki w „Listach o muzyce” nawiązuje do Konkursu im. Wieniawskiego, pi

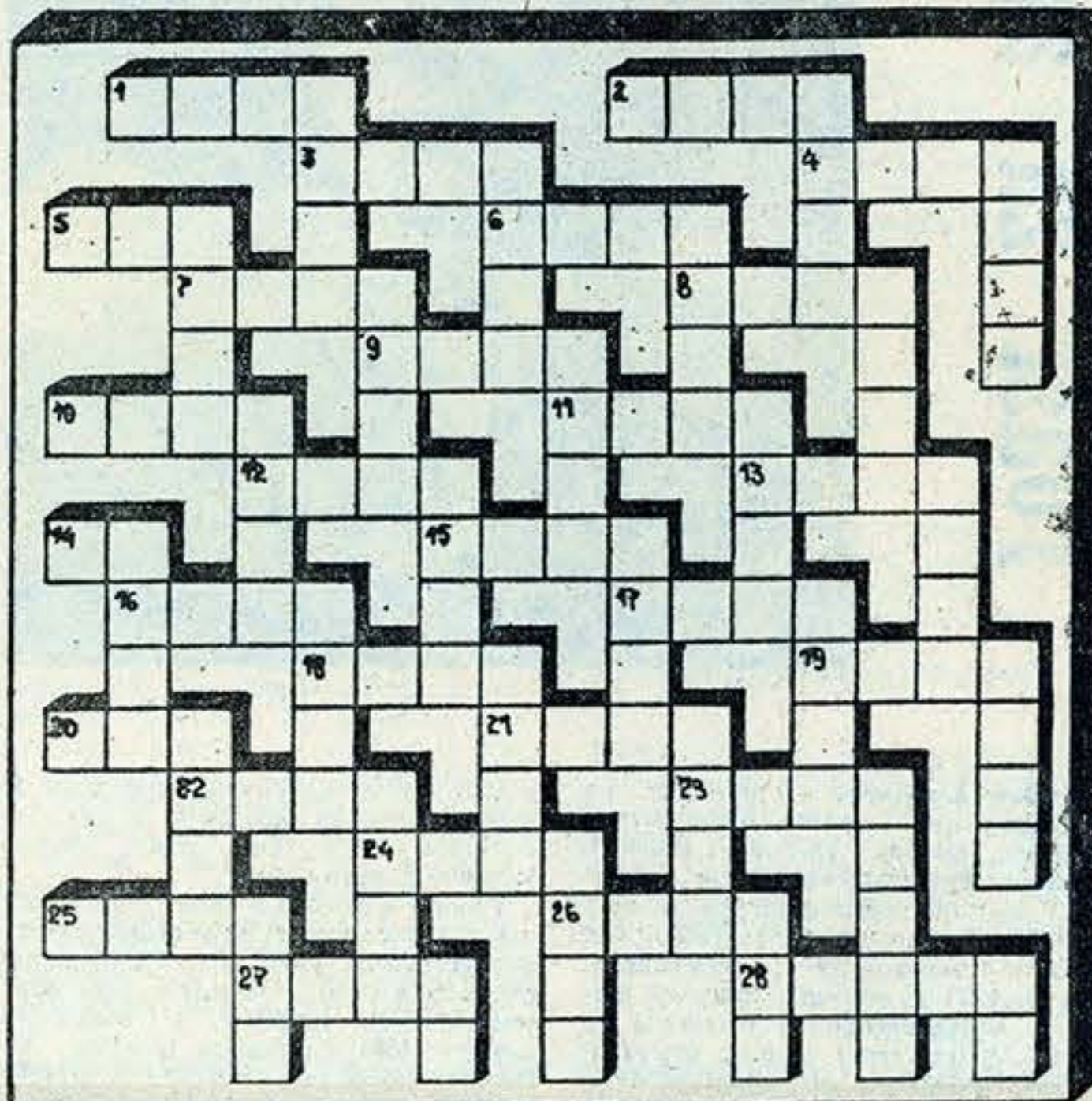
sząc także o zielonogórskich uczestnikach: „Dorotę Siudę obserwuję od wielu lat. Jeszcze jak była uczennicą szkoły muzycznej, potem i studentką w Zielonej Górze...”. Od dawna podziwiam jej pracowitość, rzetelność w wykonywaniu muzyki klasycznej, coraz doskonalsze opanowanie techniki i muzykalności. Ma 20 lat, jestem przekonany, że upórnie pracując pod kierunkiem jakiegoś dobrego znającego jej zdolności techniczne i interpretacyjne pedagoga osiągnie wysoki poziom. Uczniem prof. Hajzera jest również Jarosław Zieliński, skrzypek o doborze opanowanej technice, ładnie interpretujący dawną muzykę. Doszedł do II etapu i on powinien w przyszłym Konkursie Wieniawskiego znaleźć się wśród wiodących skrzypków. Z satysfakcją notuję, że z niewielkiego ośrodka, jakim jest Zielona Góra, prof. Hajzer wyprowadził do Konkursu im. Wieniawskiego dwoje dobrze przygotowanych skrzypków. Cieszymy się z takich opinii, „trzymamy kciuki” za przyszłe sukcesy zielonogórzan!

IRRACJONALIZMY. Michał Radgowski w felietonie „Żeby” („Dialog” nr 9 z ub. roku) pisze m.in.: „To, że czegoś nagle braknie, nie jest jednak zjawiskiem nadprzyrodzonym lub nie dającym się uchwycić przy pomocy narzędzi wzbogaconych przez profesora Kortbarskiego. Oczywiście, handel mógłby wycofać wodkę ze zwykłych monopolowych sklepów i rzucić ją za dewizy, ale czy logika zadowoliliby przeciętnego pijusa? Irracjonalne jest może to, iż wszyscy chcą ją pić w jednym czasie i w ogromnej ilości, zamiast po trochu codziennie. Taką jest siła zwyczaju”. Naszym zdaniem, irracjonalne jest to, że w ogóle jeszcze ktoś chce pić tak nędznej jakości produkty „Polmosu”...

nadodrze

Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów

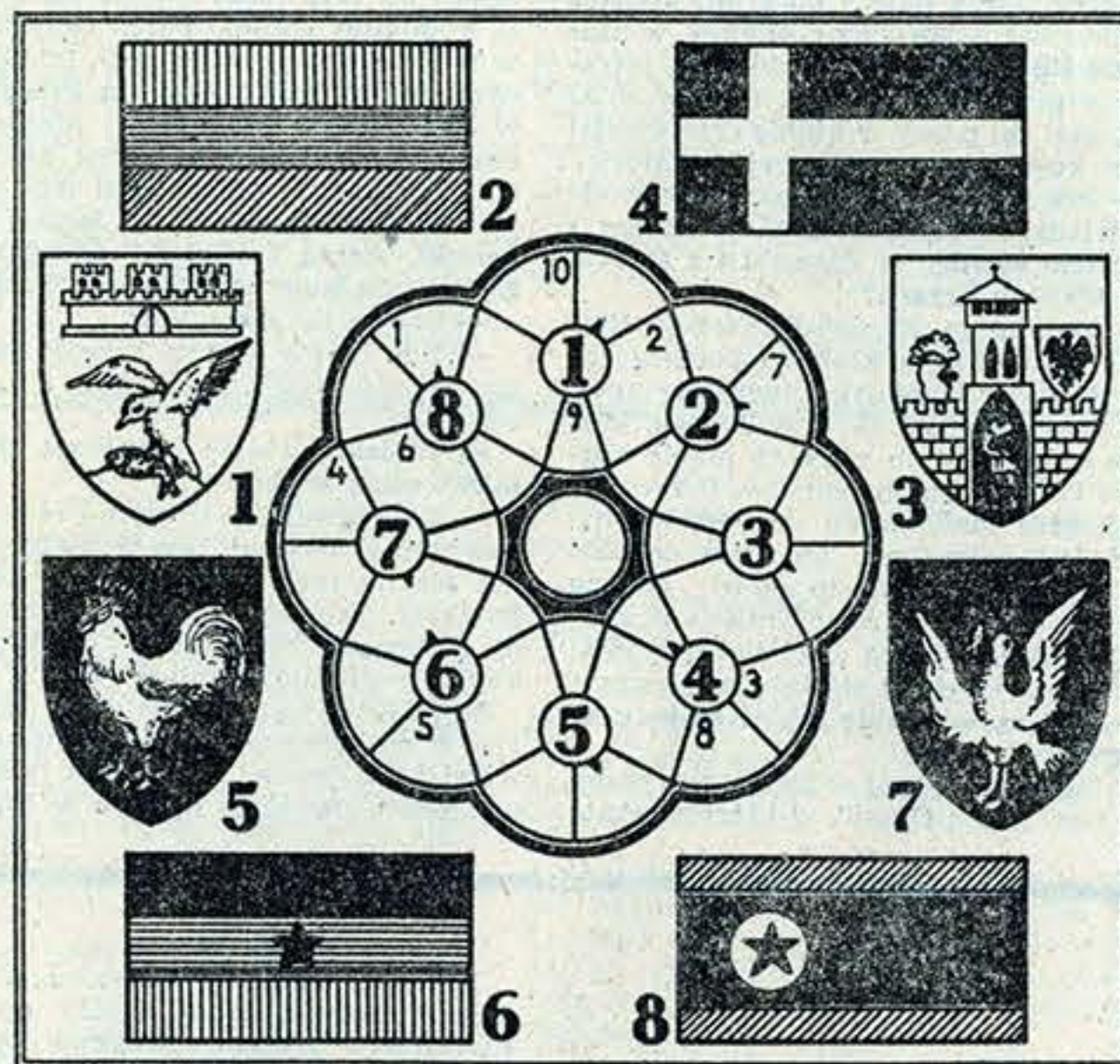


KRZYŻÓWKA KOLANKOWA (Oprac.: „STANGAR”)

1. Beżenny, 2. Złotnik, 3. Dwucukier zbudowany z glikozy i galaktozy, 4. Bań, 5. Przeciwnieństwo brzydoty, 6. Napój z migdałów, cukru i wody, 7. Walka z błędami, 8. Napaść, 9. Czworokąt, 10. Pomysł, 11. Kierunek filozoficzny, 12. Materiał rozciągliwy, 13. Typ pochylego pisma, 14. Gatunek wyki, 15. Ajer, 16. Jednostka ognioowa w artylerii, 17. Dziewiąty miesiąc muzulmańskiego kalendarza, 18. Broń tenisista, 19. Kwesta, 20. Skala, ośmiu tonów, 21. Mieszkaniec obszarów arktycznych, 22. Gramofon, 23. Rower o jednym kole, 24. Układ, 25. Rządki ptak chroniony, 26. Część monotypu, 27. Klej z kości zwierzęcych, 28. Ręczny karabin maszynowy.

ANAGRAM (Oprac.: „CELESTIAL”)

Pospolita, czarna zalotnica
..... poznała na łąkach.
Już pokochała smukłego ptaka,
wtem kłops! — odcieciał. A więc rozłąka.
..... po nocach nie śpiła,
nawet dzioba w jadle nie macza —
za karmazynowym ptakiem wzdycha,
..... do niej nie powraca.



WIROWKA GEOGRAFICZNA ILUSTROWANA (Oprac.: „ZEM”)

Odgadnąć 4 nazwy miejscowości na podstawie zamieszczonych herbów i wpisać je zegarowo wokół cyfr 1, 3, 5, 7. Następnie odgadnąć 4 nazwy państw na podstawie przedstawionych flag i wpisać zegarowo wokół cyfr 2, 4, 6, 8. Początek wpisywania wyrazów zaznaczony kreską. Litery wypisane z diagramu w kolejności od 1 do 10 utworzą dodatkowe wyrazy.

Rozwiązanie zadań prosimy nadsyłać w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Wśród Czytelników, którzy nadesłali rozwiązania wszystkich zadań rozlosujemy nagrodę książkową wartości ok. 500 zł, zaś pozostałe nie wylosowane rozwiązania wezmą udział — razem z nadesłanymi dwoma rozwiązaniami — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 200 zł. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 4:

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

Poziomo: kapuza, kolyska, gajówka, kowadło, Ryszarda, Opole, brześcianka, niedola Róża, tulów, zakala, kabura, regaty, manez, pozer, Katang, pawana, Walonia, góra, tusza, mastaba, figur, konanie, ma-

limo, Liswarta, kaliko, Zapata, ramota. Pionowo: kakao, zakole, kolobrzeżanka, kerykatura, gadanie, kapela, powódka, Dolega, zadymka, lamaga, bulawa, rezerwa, tyranna, tandeta, parafinoza, naturalista, Lozanna, maskotka, Bamako, koiara, niemota.

Konikówka — „W imię sprawiedliwości polamano niejedne żebra”.

Krzyżówka magiczna — chrząszcz, szczecińska, oszczypek, ocenienie.

Nagrody książkowe wylosowali: p. Zofia Marzykiewicz zam. ul. Kościuszki 1/2, 26-520 Wierzbica k. Radomia (za rozwiązanie trzech zadań) oraz p. Stefan Kubasiewicz zam. ul. Gen. Józefa Bema 38/1, 45-170 Zielona Góra i p. Ludwika Dumańska, zam. Klimkówka 2, 33-311 Wielogłowy k. Nowego Sącza. Gratulujemy.

